



№ 46.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 14 listopada 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Ujazdów (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z pięcioma drzeworytami). — Ze świata muzycznego. — Wyznanie (wiersz). — Mściśław Kamiński (z drzeworytem). — Szachy. — Rebus. — Przegląd piśmiennicy (dokończenie). — Rozmaitości. — Uroczą, powieść przez T. T. Jeza. — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera.



WIDOK UJAZDOWA OD STRONY WISLY. (Rysował na drzewie Ludwik hr. Grabowski.)

UJAZDÓW.

Kronika tygodniowa.

Przechodzącemu górzystą drogą, prowadzącą z ulicy Wiejskiej do Łazienek królewskich, podobnie jak z ulicy Czerniakowskiej i dalej jeszcze z po za bujnej zieleni Saskiej kępy, najokazaliej przedstawia się Ujazdów.

Ztąd widocznymi są jeszcze dwie wspaniałe baszty, i całość wychylająca się na dość wyniosłej górze ma pozór starożytnego zamku, który nietylko stanowi piękny krajobraz, ale pobudza przechodnia do pytania:

— Co było tu niegdyś? jaka jest przeszłość tego miejsca?

Powiemy mu więc, iż w dziejowych wspomnieniach miejsce to dawniejsze jest od Warszawy, bo już w XIII wieku Ujazdów występuje na widownię historyczną, kiedy o tamtej żadnej jeszcze niema wzmianki.

Owóz Jazdowo lub Ujazdowo, była to wieś udzielnych książąt mazowieckich, którzy od wieków posiadali tu zamek i w nim często mieszkali.

W zamku ujazdowskim w r. 1261, w wigilią świętego Jana Chrzciciela, spokojnie bawiący książęta Ziemowit I Konradowicz i syn jego Konrad, napadnięci przez liczne hufce Litwinów, pod wodzą Mendoga i Swanrona, niespodzianie i zdradziecko zostali pojmani. W jednej wieży ojciec później był ścięty, w drugiej syna zatrzymano w niewoli.

Jeszcze w końcu XVII wieku pokazywano w Ujazdowie miejsce gdzie się stało to pamiętne zdarzenie.

Różne koleje przetrwał potem zamek ujazdowski. Od XVI stulecia był letniem mieszkaniem królewskim i słynął szczególnie z owocowych swoich ogrodów, których płody przesyłano dostojnym osobom w darze.

Niekiedy znówu gmach cały na inne obracano pożytki.

Tu mieszciano się za Jana Kaźmirza mennica sławnego Liwiusza Boratiniego i ztąd wychodziły głośne w tym czasie ze swojej szkodliwości pieniążki zwane Boratynkami.

Za pierwszej wojny szwedzkiej zamek złupiony i nadwreżony, odtąd stał już pustkami. Wreszcie Jan Kaźmirz przywilejem 16 czerwca 1668 r. wydanym w Warszawie, wieś Ujazdów a wniej zamek ze zwierzyńcem i ogrodem, darował Teodorowi Denhoffowi podkomorzemu koronnemu, który trzymał je jako dzierżawca wieczysty; w sześć lat jednak, to jest w r. 1674, przelał prawa swoje do tej własności na rzecz i osobę Stanisława Lubomirskiego.

Bogaty ten pan, zostawszy marszałkiem w kor., wyrobił sobie w r. 1683 uchwałę sejmu, na mocy której wieś i zamek ujazdowski, dotąd przez niego emfiteutyicznie dzierżawione, zostały mu na dziedzictwo darowane.

Otrzymałszy takowe, sprowadził z Włoch artystów, którzy stary zamek na modny pałac przebudowali i pysznie go urządzili.

Była to wspaniała na owe czasy budowla i pod względem sztuki odznaczająca się, tak przynajmniej opisuje ją Jan Faggioli, poeta włoski w r. 1690, wraz z nuncyuszem papieżkim Sanita Croce, w Polsce bawiący, który zostawił nam dziennik swój podróży.

Unosi się on nad okazałością budowy pałacu ujazdowskiego i utrzymuje iż go stawiał jeden z dobrych uczniów Michała Anioła, tak wytworny był styl gmachu i do gustu tego wielkiego mistrza zbliżony, tak śliczne i bogate wewnątrz ozdoby, malowidła, złotnicze, marmurowe wyroby itd.

W r. 1764, zaraz po swém wstąpieniu na tron, nabył Ujazdów od Lubomirskich Stanisław August.

Z początku król zamierzał gmach przebudować i do pierwotnego przeznaczenia go przywrócić, lecz wkrótce zniechęciwszy się niepowodzeniem w planach i ich wykonaniu, zaniechał przedsięwzięcia. Następnie w r. 1784 przeznaczył i darował go magistratowi warszawskiemu na koszary, w którym to celu był znówu zupełnie przebudowany i mieścił w sobie wojsko różnej broni do roku 1809. Wtedy zajęty na lazaret, od tego czasu jest szpitalem głównym wojskowym.

Wiek... Krótki to wyraz i łatwo się wymawia, lecz ileż myśli w sobie mieści!

Mało komu z ludzi daném jest zwiędzić od końca do końca ten przystanek na drodze ludzkości, tę pulsacją niczém nie powstrzymanego w przebiegu swoim czasu, to uderzenie serca ziemi naszej, podczas którego zmienia ona wrażenia doznane.

Wyrażenie „człowiek z tamtego wieku,“ oznacza coś tak dalekiego od nas, tak obcego nam prawie, że służy za oznaczenie zerwanej już niemal tradycji....

Więc cóż może być piękniejszego nad wiekowy jubileusz, a zarazem co rzadziej zdarzać się może?

A jednak szczęśliwym trafem o takiej uroczystości pisać nam dziś przychodzi.

* * *

Więc radziście zapewne żebym wam wymienił nazwisko i stan społeczny tego sędziwego jubilata.

Bo nazwa ta z prawa mu się należy: okrążyło sto lat temu, jak zjawił się w Warszawie, i od tego czasu ciągle bawi pomiędzy nami.

Mówimy tu o *okreście* wiszącym przed sklepem Fukiara na Starém mieście.

Okreś ten stanowił dawniej i dziś stanowi jedyną wystawę sklepową tego Nestora składów warszawskich.

Sto lat temu zawiesił go na tém samym miejscu Raabe, poprzedni właściciel domu i handlu, i od tej chwili ciągle tam pozostał.

Ta sień starożytna, różniąca się tak zupełnie fizyognomią od dzisiejszych zbyt kownych westybulów, odznacza się innemi jeszcze pamiątkami, które także przez długie lata w niej się przechowały.

Widać tam świętego Jana z barankiem; zawsze bowiem domostwo i dobytek swój umieszczano u nas pod opieką jakiegoś świętego.

Takich posążków i obrazków mnóstwo dawniej bywało w domach naszych; dzisiaj pozniwały one powoli i z trudnością przyszłoby ślady ich wynaléźć.

W tej sieni wisi również i łeb rogaty daniela, zapewne ofiara jakiego przyjaciela domowego.

Takie łby łosiów, jeleni i danielów, służyły niegdyś u nas za wieszadła po sieniach. A nietrudno było o te ozdoby, zwierzyny bowiem, i to tak zwanéj grubéj zwierzyny, roiło się mnóstwo w gęstych lasach kraj nasz pokrywających.

Obecnie rogi jeleni i daniela są już rzadkością, a łosiów ani widać prawie.

Bo szlachetne te zwierzęta nie mają gdzie mieszkać; zbrakło im ochrony i poszły szukać jéj gdzie indziej.

* * *

Niewielu z was zapewne, czytelnicy, znało człowieka o którym czujemy się w obowiązku dać tutaj pośmiertne wspomnienie; a jednak życie jego czynnie wplecione było do losu kilku pism warszawskich i ściśle z tym losem związane.

Pracownik ów nazywał się Aleksander Gostyński, a był buchalterem drukarni wydawcy Tygodnika Ilustrowanego.

W tych zadrukowanych szmatach papieru, które peryodycznie rozrzucają się pomiędzy czytelników, na kilkodniową najczęściej tylko strawę, spotykaliście i spotykacie różne nazwiska podpisane pod artykułami. A nawet artykuły niepodpisane mają to do siebie, jak wszystko co drukowane w ogóle, że autorowie ich pó pewnym przeciągu czasu przestają dla was być obcymi; są to jakby znajomi, których z większą lub mniejszą sympatją spotykacie, znajomi podzielaający się z wami swojemi spostrzeżeniami, myślami, sposobem widzenia.

Ale na zbudowanie pisma peryodycznego wiele jeszcze trudów cichych się składa, trudów których nie znacie zgoła, a nawet znać nie jesteście w obowiązku.

Otóż ś. p. Gostyński był jednym z tych ukrytych działaczy, którzy znaczną część trudu biorą na siebie.

Przez długi czas trudnił on się korektą różnych dzieł, których, jak wiadomo, drukarnia J. Ungra za-

wsze kilka naraz prowadziła i prowadzi, a oprócz tego zarządzał częścią administracyjną i sam się nią głównie zajmował.

Niejednokrotnie znający go bliżej i przypatrujący się jego robocie, zadawali sobie pytanie, jak mu czasu i sił na tyle różnorodnych zajęć starczy.

Sama korekta już jest częścią arcyważną, której żadną miarą lekko brać nie można. Wymaga ona gruntownej znajomości języka, a nawet pewnego stopnia ogólnego wykształcenia.

Korektor stoi na straży czystości mowy i niejednokrotnie wypada mu prostować przewinienia autorów.

Ś. p. Gostyński, pilnując wrzekomo materialnej tylko strony, miał jednak zdrowe pojęcie o autorach i ich pismach, znał dobrze usposobienie i potrzeby publiczności czytającej i niejednokrotnie zdanie które wydawał (a mówimy to z doświadczenia) godziło trafnie w istotę rzeczy.

Był to przytém człowiek nieposzlakowanej zacności, który cudzego dobra pilnował jak własnego, lepiej nawet jak własnego. Ci którzy bliżej go znali, pokładali niezachwiane zaufanie w jego nieskazitelnym charakterze, bo téż ze wszech miar zasługiwał na to.

Od lat kilkunastu żyjąc w ciągłym wirzeliterackim, znał wszystkich piszących i bardzo dobrze względną wartość każdego z nich oceniać umiał. A chociaż z zasady o nikim źle się nie odzywał, szczerze podawał rękę tym tylko, którzy rzeczywiście na szacunek zasługiwali.

Serdecznie przywiązany do pism z którymi spoilił całe swoje istnienie, do samego końca pracowitego swojego żywota troskliwie zajmował się nimi. Zasnął w Bogu w d. 9 b. m. i roku,

* * *

A. E. Odyniec nadesłał nam wiersz poświęcony pamięci zmarłego niedawno Męcisława Kamińskiego, którego wizerunek i życiorys podajemy w dzisiejszym numerze Tygodnika. Wiersz ten jest zarazem ocenieniem zasługi nieboszczyka i jéj uczczeniem.

Pokój ci w Panu! Niewielu nas było,
Cośmy to rzekli nad twoją mogiłą;
Ale jak w duszy méj to pożegnanie,
Niech choć ślad jego w tém słowie zostanie.

Młodzieńcze! zgasłeś w kwiecie twego wieku,
Pod skwarem cierpień dojrzałeś — człowieku!
Jak mroczny obraz w kropkach łez lub rosy,
W losach twych wielu odbiły się losy.

I niech tak lekka będzie ci mogiła,
Jak tu na ziemi ciężka dola była.
Trosk twych ojcowskich i łez ich goryczy
Świat nie obaczył — lecz Bóg je policzy.

I póki z góry Opatrzności oko
Patrzy na ziemię, a widzi szeroko,
Znajdą się tacy, co rodzinę twoją
Chlebem nakarmią i w żalu ukoją.

* * *

A więc konkurs dramatyczny lwowski jest już rozstrzygnięty. Po prawdzie długo on kazał nam na to rozstrzygnięcie czekać, i niewiadomo czemu to przypisać; utworów bowiem nadesłanych była znaczna liczba, a niektóre z nich, jak o tém sprawozdania miejscowe upewniam, mianowicie zaś Żyd dramat p. Edwarda Lubowskiego, który pierwszą otrzymał nagrodę, Don Juan królewski, Powstanie w Dalekarlii i Tarło, odznaczały się niepoślednimi zaletami.

O konkursach, ich użyteczności i doniosłości tyle już pisano u nas, że nie myślemy wcale powtarzać tych zdań, które zwykle na jedno się godziły. Najrzeczywistszy jednak użytek z konkursów mogą ciągnąć dyrektorowie teatrów, którzy tym sposobem zapewniają sobie pewną ilość sztuk dobrych do przedstawienia. Dlatego tam, gdzie piśmiennictwo miejscowe z różnych powodów opieszała tylko ręką bierze się do przysparzania utworów dramatycznych, konkursy są i będą zawsze na dobie. Tam zaś, gdzie

teatra zapewniają dostateczne wynagrodzenia, konkursu okazały się zbyt drobnymi i do żadnych praktycznych nie doprowadzą rezultatów.

W każdym razie panu Lubowskiemu wieszamy szczerze odniesionego tryumfu. Spodziewać się należy że stanie się on dla niego zachętą do dalszych prac na tym polu, tak świetne bowiem i głośne powodzenie wkłada obowiązki na autora, który złożył tym sposobem niewątpliwe dowody talentu dramatopisarskiego.

* * *

Dowiadujemy się również, że drukowany w Tygodniku dramat w dwóch aktach wierszem ś. p. Zygmunta Józefowicza przedstawiony został z powodzeniem na scenie lwowskiej.

Józefowicz był także laureatem konkursowym, za komedią bowiem swoją „Po naszymu,” otrzymał przed ósmiu laty w Warszawie drugą nagrodę, czyli akcesyt.

Gorzko potem młody autor opłacić musiał to chwilowe powodzenie; krytyka bowiem, stając w poprzek wyrokowi sędziów, odmawiała mu nawet zdolności dramatycznego autorstwa, kładąc uzyskane powodzenie na karb wypadku, lub szczęśliwych okoliczności.

Że jednak tak nie było, ś. p. Józefowicz postarał się sam to dowiedzieć, tworząc swój dramat „Królowa Bona w Bari,” która to sztuka mogła być stać się zaczątkiem nowej ery powodzeń dla młodego a utalentowanego pisarza, gdyby przedwczesna śmierć nie stanęła temu na przeszkodzie.

Otóż jest jedna jeszcze niedogodność konkursów.

Za chwilę powodzenia odpłacają one autorom którzy nagrody otrzymali długim szeregiem przykrości i nieprzyjaznych wystąpień, które żeby należycie określić, trzeba by sięgnąć chyba do głębi jakiegoś ukrytego współzawodnictwa, albo zawiści, chcemy wierzyć że pomimowolnie.

Doświadczył tego Józef Korzeniowski, kilkakrotny zwycięzca na konkursach dramatycznych, doświadczyli i inni, którzy odważyli się z powodzeniem sięgnąć po nagrodę.

Sędziowie mogą się wprawdzie mylić, trudno ich jednakże pomówić o stronność, bacząc na to, że nazwiska ubiegających się o nagrodę zachowane być winny w tajemnicy.

Ale jakże dziwnym musi się wydawać, kiedy ciż sami, którzy przychylny wyrok wydali, za ogłoszeniem nazwiska autora, stają wręcz przeciwko niemu i wygłaszają publicznie zdania wprost przeciwne opinii jaką na konkursie wyrazili!...

A przykładów tego rodzaju moglibyśmy niemało naliczyć.

Życzymy szczerze panu Lubowskiemu, ażeby własnym doświadczeniem nie stwierdził tych przykrych zawodów i radziłybyśmy żeby, jak się spodziewać należy, powodzenie sceniczne poparło najbardziej przekonującym argumentem wyrok sędziów lwowskich.

* * *

W tych dniach wyjechał do Krakowa na stałe zamieszkanie jeden z czynnych współpracowników Tygodnika Ilustrowanego, p. Karol Estrejcher który dotychczas pełnił tutaj obowiązki profesora Szkoły Główniej, oraz podbibliotekarza Biblioteki Głównej.

Pan Estrejcher obejmuje obecnie zarząd Biblioteki Jagiellońskiej, a stara to znajomość dla tego tak zasobnego w wiadomości bibliograficzne pracownika.

Posiada on może najkompletniejszy w kraju zbiór notatek, mogących służyć do historii literatury polskiej, głównie z nowszych czasów, nie wyłączając obecnej epoki, a zbieranie materiałów do historii sztuki dramatycznej jest jednym z najulubieńszych jego zajęć. Spodziewać się należy, że pomimo tego rozłączenia się z nami, pan Estrejcher nie przestanie zasilać pism krajowych swoimi pracami, które szczególnie w dziale bibliograficznym wysoką odznaczają się wartością i dowodzą gruntownej wiedzy piszącego.

Pracował on i w innych gałęziach literatury, a prace jego, głównie życiorysy i krytyczne oceny dzieł, niemało przysporzyły korzyści piśmiom tutejszym.

Przegląd polityki zagranicznej.

13 listopada.

W tej chwili dzienniki bacznie zwracają uwagę na starania gabinetu wiedeńskiego i rozprawy rady państwa w przedmiocie armii austriackiej. Kanclerz, jak wiadomo, na posiedzeniu komisji wojskowej, przedstawiał konieczność trzymania 800,000 ludzi pod bronią; depesze ostatnie dodają, że rada zatwierdzi tę liczbę, a nawet i powiększy tak, aby armia wynieść mogła 1,500,000 żołnierza. Tak silne uzbrojenie się Austrii, której stan finansowy jest opłakany, zastanawia wszystkich i nie pozwala przypuszczać aby państwo to bez ważnych powodów narażało się na tak wielkie wydatki. Ztąd mnóstwo wojennych pogłosek, różniących się tylko chyba, iż gdy jedni wciąż jeszcze uważają wojnę Prus z Francją jako rzecz pewną, drudzy na Wschodzie upatrują źródło pożaru. Wyznać należy iż rząd pruski i francuski starają się wszelkimi sposobami uspokajać opinią publiczną. Cesarz Napoleon wydaniem mapp chciał przekonać lud francuski, że nie ma powodu zazdrościć Prusom ich nabytków, — król pruski ze swjej strony w mowie tronowej pominął zupełnie kwestyę jedności Niemiec, aby nie dać pola do przypuszczeń, że Prusy przekroczyły linią Menu. Pomimo to nie brak takich, którzy nie ufając temu, przepowiadają starcie, objawy zaś pokoju uważają li tylko jako chwilowe odroczenie walki. Najważniejsze wszakże chmury nagromadziły się na horyzoncie wschodnim. Prasa austriacka nie przestaje dowodzić, że Prusy weszły w przymierze z Rumunią w zamiarze rozwiązania kwestyi wschodniej, bez udziału Francji i Austrii. To napastowanie Prus stało się tak zaraźliwem po dziennikach austriackich, iż nawet urzędowa Abendpost powtarza artykuły z gazet węgierskich, oskarżających p. Bratiano o awanturyczne plany. Jakkolwiek trudno wierzyć w zawarcie przymierza między Prusami i Rumunią, załować wszakże wypada że prasa rumuńska sama przyczynia się do rozpowszechniania niepokojących wieści. Bądź co bądź, uzbrojenia rządu austriackiego nie przyczynią się do poprawienia stosunków Wiednia z Berlinem, zwłaszcza jeżeli to prawdą jest, że p. Beust oświadczyć miał, a z nim i komisya w swem sprawozdaniu, że najgłówniejszą przyczyną uzbrojeń jest niepewny stan Europy i utworzenie się północnego związku niemieckiego, którego istnienie jest naruszeniem równowagi europejskiej. Do Ind. Belge piszą z Wiednia, że w razie wojny Prus z Francją, Włochy i Austriya pozostaną neutralnymi, i że okoliczność ta przyczynić się może do ścisłego między temi dwoma mocarstwami przymierza.

Dotąd niewiadomo kiedy kortezy powołane zostaną do ostatecznego zagłosowania formy rządu w Hiszpanii. Tymczasem kandydaci do tronu występują ze swemi pretensjami, a między innymi najsilniej Don Carlos, który podobno liczy na powodzenie swych zabiegów. Wyrachowanie to zdaje się być mylnem, don Carlos bowiem tylko w duchowieństwie i bardzo małej liczbie legitymistów znaleźć może poparcie. Ogół natomiast narodu hiszpańskiego, jakkolwiek silnie do monarchii przywiązany, postanowił raz na zawsze zerwać z Burbonami. Do poważniejszych kandydatów zaliczamy generała Espartero księcia Wittoryi, który niegdyś był regentem państwa i wielką się cieszy wziętością u ludu. Korrespondent angielski Timesa twierdzi, że okrzyk „Viva don Baldomero I” daje się często słyszeć w Madrycie, a nie brak i takich którzyby radzi byli temu, w nadziei że panowanie Espartera byłoby pogodzeniem wszystkich stronnictw, nowy bowiem król mógłby przez adoptacyę przysposobić sobie następcę w księciu wybranym wśród rodzin panujących.

Z Paryża ważnych wiadomości niema. Zwołanie ciała prawodawczego w połowie grudnia r. b. odroczone zostało do stycznia r. b.; po krótkich zaś obradach zgromadzenie to rozwiązane zostanie, z powodu

nowych powszechnych wyborów. W zagranicznej polityce gabinetu tuileryjskiego żadna nie zaszła zmiana i nic nie upoważnia do przypuszczeń, aby rząd ten rzeczywiście miał obecnie wojnę z Prusami na celu. Okazuje się nawet że wszelkie pogłoski o zbliżeniu się czy też przymierzu z Holandją były fałszywe, komisya bowiem budżetowa izby holenderskiej zażądała objaśnień w tym przedmiocie od gabinetu, w skutek czego minister spraw zagranicznych oświadczył, że rząd nie przyjął żadnych zobowiązań względem nikogo. Według wiadomości z Londynu, sporne kwestye między Anglią i Stanami Zjednoczonymi są już prawie załatwione. Monitor z d. 10 b. m. ogłosił dekret cesarza Napoleona, stanowiący że odtąd katedra języka słowiańskiego w kolegium francuzkiem, nosić będzie nazwę katedry literatury i języków pochodzenia słowiańskiego.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

Z KRAINY DŹWIĘKÓW.

(Fragment).

...Znasz ty weneckie zapusty?!

Malczeski, Marya.

...Rwący jak nurt potoku, jak morze zdradziecki,
Syn ciemności, a w szaty strojny promieniste,
Tam, kędy laury kwitną i niebo lśni czyste,
Niby wąż się rozwija... karnawał wenecki.

Noc skrzy się gwiazd milionem. Na lustrzanych
[wodach
Tysiąc strojnych gondoli krąży z gwarnym krzykiem;
W gondolach siedzą *divy* o śniadych jagodach
I wabią czarnem okiem... a przed lwa pomnikiem
Lud się kupi, wre głucho i barwistą falą
Liże pałacu dożów fronton marmurowy.
Pod niebem krwawą łuną obłoki się palą,
Gasząc gwiazdy... Na tłumie wrzące ogniem głowy
Spada wonny dęszcz kwiatów; — śmiechu uragany
Rwą się w górę; — na wodzie drżą pochodni blaski...
I tłum płynie zabawą i szałem pijany,
A z tłumem, niby z ulą, wybiegają wrzaski
I w grzmot rosną huczący...

Półnaga rozpusta

Z zatrutą czarą wina w śnieżno-białej dłoni,
Pośród tłumy się zjawia i tłum topi usta
W truciźnie, i liść winny płacze koło skroni,
Krzyżąc: Boże rozkoszy, myśmy Twoje dzieci!..

W górze szalu pieśń płynie,
Piorunami w krąg ciska,
Ogniem skrzy się i błyska,
W piekło zda się poleci
I zginie!..

Jak wąż ranny się kłębi,
Ządem syczy, po ziemi
Pełza sploty drżącemi
I wzrok krwawy zapuszcza
Do głębi.

Potem, w orła zmieniona,
Lotne skrzydła rozwija,
Pod obłoki się wzbija,
Chce pochwytać świat cały
W ramiona.

Znów, jak pereł kaskada,
Skier miliony roztrąca,
Wreszcie słabnie... i mrąca
W ciemnej światów czeluści
Przepada!..

Wiktor Gomulicki.

MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez
Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

— A któż temu zaprzecza? Przecież zawsze sobie to powtarzam: gdybym się ożenił, tobym cioci Euzebie zostawił całe gospodarstwo i cały dom mój, z jaknajobszerniejszą plenipotencją strojenia i harmonizowania.

Cierpki uśmiech przebiegł po bladej twarzy stariej panny. Zamyśliła się i umilkła. Po chwili ozwała się:

— Dziękuję ci za miejsce, które mi w sercu i w domu swoim ofiarujesz. Jest to zawsze dowód, że nie poświęcam się niewdzięcznemu. A serce moje tak pragnie poświęcenia się! Bez niego nie mogłabym żyć ani chwili. Ono jest warunkiem całego mego życia. Ach, taka to już natura kobiecego serca!...

Nepcio milczał i patrzył na dymiący samowar. Nie wiedział czy te słowa cioci potrzebują odpowiedzi.

— A znasz ty, Nepciu, serce kobiece? zapytała znowu po chwili. O nie zaraz poznasz je, choć masz je tak blisko, choć tyle serc codziennie otacza cię!.. Serce kobiece pragnie przede wszystkim miłości, gorącej miłości! Ono potrzebuje coś, kogoś ukochać, ukochać całym ogniem, całą namiętnością!.. A jeśli tej wielkiej, gorącej miłości w życiu znaleźć nie może, jeśli świat zimny i obojętny odepchnie jego prawa, pragnienia i prośby, wtedy zamyka się to biędne serce dla wszelkich rozkoszy światowych, ale zamyka się jak koncha, z wewnętrznej perłą. Tą perłą jest — poświęcenie się!..

Nepcio milczał jeszcze, patrząc na dymiący samowar. Ciocia Euzebia mówiła dalej:

— Gdybym była młodszą i ładną, gdybym ubrana w kwiaty wiosny weszła do tego domu, możemy innym uczuciem mogła pożywić serce moje... Dziś zostaje mi tylko poświęcenie się i nic więcej.

Po tych słowach nastąpiła w jadalnym pokoju cisza złowieszczą. Ciszę tę przerywał tylko jakiś dziwny szmer samowaru. Cóż w nim piszczało i jęczało żałośnie, aż smutno było słuchać.

Szum samowaru sprawił na umyśle Nepcia przykre wrażenie. Zato ulatniająca się w dużych kłębach para pomagała mu do snowania lepszych, weselejszych obrazów. Wystawił sobie że ta sama para powiezie go jutro prawdopodobnie do Lwowa, gdzie będzie mógł zadość uczynić obowiązkowi, włożonym na niego ostatnią wolą nieboszczyka. Ta ostatnia wola przedstawiała mu się w barwach dosyć ponętnych. Były tam różne kolory, razem pomieszane. Czarne włosy i blond, szafirowe oczy i piwne, nosy orle i lekko do góry zadarte, a wszystko to jeszcze w chaosie walczyło między sobą o pierwszeństwo. Czasami jakiś duch-psotnik wionął mu przed oczy eteryczną, w szlarki ubraną postać choreograficzną, a chociaż wyraźnie to do ostatniej woli papci nieboszczyka nie należało, tak jednak blisko z nią graniczyło, że i podobnych obrazów nie odmówił Nepcio swojej fantazyi.

Cisza ta dziwna, zapelniona marzeniami, trwała długo, strasznie długo.

Przerwała ją wreszcie ciocia Euzebia.

— I cóż ci serce twoje, kochany kuzynku, mówi w tej chwili? zapytała, patrząc na niego z uwagą.

— Serce moje, odparł Nepcio z pozorami zamyślenia, serce moje wyrzuca mi w tej chwili czarną niewdzięczność dla papci nieboszczyka, którego ostat-

— Prócz Fipci, dla której słabość miałem — żadne. Fatalna szafa wszystko popsula.

Ciocia Euzebia westchnęła i zamyśliła się. Powoli powiodła okiem po twarzy Nepcia, milczała czas niejaki, a potem rzekła:

— Jeszcze jeden dam ci dowód mego poświęcenia, w rzeczy o której wcale dotąd nie wiiesz. Czyś ty przeczuwał, że ja w twoim interesie jeździłam?

— Do Alfonsów? A cóżby tam mogło być ciekawego, osobliwie dla mnie?

— Tak jest, do Alfonsów wyłącznie dla ciebie jeździłam. Osiem mil drogi, tam i nazad szesnaście!.. Niewdzięczny!

Rzekłszy to, podała mu drobną rączkę do ucałowania, co też Nepcio z należytą submisją uczynił.

— Cio... kuzynka strasznie mnie zaciekawia, rzekł po chwili, patrząc na nią z uwagą.

— Otóż posłuchaj! Dowiedziałam się, że tam właśnie bawi u nich panna Sydonia, née princesse. Rozumiesz co to znaczy? Mimo wszelkich demokratycznych rozumowań, wyraz *princesse* zawsze ma swój urok. Czy prawda?

— A kiedyż ja temu przeczyłem?... Sydonia! Tam do kata! To ma być śliczna osoba. Opowiadano mi o niej w Paryżu.

— Widzisz, nawet w Paryżu mówią o niej. A ty pojechałeś do Fipci... Szafa miała więcej rozumu od ciebie, że cię zamknęła.

— A może to i prawda! Któż wie, powiada ojciec Celestyn, jakimi drogami prowadzi Opatrzność człowieka do jego przeznaczeń?..

— Otóż ułożyłam sobie, abys się o tę pannę Sydonię starał.

— Fi.. fil... Czy to tylko nie zawysoko dla mnie? Książęca fuma, chociaż mająteczek dosyć skromny!

— Nie lękaj się. Staralam się do gruntu poznać Sydonię i zdaje mi się że miałbyś szansę.

— Miałbym szansę?... Osoba o której mówią w Paryżu! I śliczna jak anioł Rafaela!

— Ale trzeba na to odwagi i wytrwałości.

— Tej mi niebrak — chociaż ostatnia wola papci nieboszczyka wyraźnie powiada: rychło!

— Prócz odwagi i wytrwałości, potrzeba jeszcze... potrzeba pewnego znawstwa serca.

— Znawstwa serca?... toż przecie święci garnków nie lepia.

— Potrzeba wiedzieć, mój drogi kuzynku, że serce kobiecy, to jak piękny instrument. Ręka mistrza wydobydzie z niego najcudniejszą melodyę, a człowiek nieumiejętny odstraszy dzikimi tonami wszystkich.

— O melodyę mniejsza, byle tylko nie było tych dzikich tonów, które mogą za dziesiątą górę wystraszyć.

— Zależy to od tego, kto do instrumentu się zbliża.

— Tam do kata! Ciocia pokazuje mi ładne jabłko, ale dodaje zaraz: powoli, bo zęby wyłamiesz.

— O to mnie właśnie chodzi, abys zębów sobie nie wyłamał,

bo toby i mnie holalo.

Biędny Nepcio zamyślił się nad tem głęboko. Wiadomość o Sydonii rozgrzała jego wyobraźnię. Słyszał o niej, że jest nadzwyczajnej piękności. Prócz tego i urok urodzenia przyczyniał się do silnego podniesienia przyrodzonych wdzięków. I oko, i próżność, a może i serce były podtechtowane. Nepcio już czuł, że mu się w sercu coś ciepłej robi. Niezawo-



Milczał Nepcio i patrzył na dymiący samowar.



Powóz został natychmiast otoczony.

wytykali?

— I upatrzyłeś już sobie jakie serce — serce któreby cię pojął, zrozumieć i ukochać mogło?

— Takiego serca jeszcze dotąd nie znam. Myślę dopiero wyjechać i rozejrzeć się po świecie.

— A z tych serc jakie znasz, żadne nie przyciąga cię jakim skrytym uczuciem do siebie?

dnie zaczęła tam kiełkować myśl przez ciocię Euzebię rzucona.

— Więc mówi ciocia, że miałbym szansę u panny hrabianki Sydonii?

— Najniezawodniej, byłeś tylko umiał całą rzecz dobrze poprowadzić. Jest to osoba tkliwego serca, gorącej wyobraźni, silnej woli graniczącej z uporem i jeśli tego będzie potrzeba, gotowa dla wielkiej, prawdziwej miłości wszystko, nawet siebie poświęcić. Słowem, osobarzadka w dzisiejszym wieku, w którym realistyczna dążność wszędzie, a najwięcej u kobiet przeważa... Czy sądzisz że Ficcia z miłości poszłaby za ciebie? Gdzie tam! Oto dlatego, że masz w stosunku do niej ładny majątek i ją, jako córkę dorobkiewicza, wprowadziłbyś w towarzystwo.

— Hm, hm, — mruzczał Npecio. Ciocia pokazuje mi wprawdzie bardzo ładną, ponętą gruszkę, ale na samym wierzchołku, gdzie i wleźć trudno, i niema jój czym dostać.

Ciocia Euzebia patrzyła z uwagą na twarz Npecia, który w tej chwili był strasznie zaturbowany. Po jej bladych, zwiędłych licach przechodziła zwolna chmurka smutku. Była to niby boleść, niby żal do świata, do ludzi. Widocznie jakieś piękniejsze marzenie, które jak promień słońca przy zachodzie z jej duszy wybiedz chciało, przytrzymywała siłą woli choć jeszcze chwil kilka, aby się tak nagle z nim nie rozstać... Po niej jakimś czasie ocknęła się, wstrząsnęła głową, jakby coś z niej zrzucić chciała, i rzekła:

— Uprzedzam cię najprzód, że ta gruszka jest wysoko zawieszona, ale na to tylko, abys miał czas pomyśleć odrazu nad sposobami, jakichby użyć potrzeba aby po nią sięgnąć.

— Jestem na to bardzo nieumiejętny, wyjąwszy gdybym się zakochał. Mówią że ludziom których miłość ogarnia, spadają z nieba różne myśli i koncepta...

— Przeciwnie, mój drogi kuzynku. Miłość wprawdzie jest zmyslną, ale często zabija w człowieku wszystkie jego zdolności. Odbiera mu rozum i rozsądek, a częstokroć wprowadza na drogi, po których nawet wrócić już nie może.

— Otóż w tym byłby kłopot niemały! I jakaż na to rada?

— Taka tylko, która wolną jest od wszelkiej namiętności. Tylko rada na boku stojącej osoby, nieporwaną wirem oczarowania i zachwyty, może być



Konny posłaniec wracał z poczty.

zbawienną i pomyślny odnieść skutek. Ale potrzeba, żeby ta na ustroniu stojąca osoba nie tylko miała doświadczenie i znajomość serca, ale żeby sama żywiła w sercu najwyższą życzliwość, a nawet poświęcenie się dla tych, którym ma radzić skutecznie. Czy znasz, kuzynku, takie serce, samotnie dzisiaj na boku stojące, a które jest w stanie w każdej chwili wszystko poświęcić dla ciebie? Czy znasz ty to serce?

Npecio myślał chwilę, potem uśmiechnął się i rzekł do cioci, całując ją w rękę:

— Żle ten robi, kto do cudzej chałupy puka, mając

to samo w domu. Na cóż mnie szukać rady po obcych bogach, kiedy cio... kuzynka jest w naszym domu i radzi jakby anioł opiekuńczy, który grzesznemu człowiekowi upaść nie daje? Od nikogo lepszej i skuteczniejszej rady nie mogę oczekiwać, jak od cioci.

— W takim razie musiałbyś, kochany kuzynku, podać mi się zupełnie. Potrzebuję wiedzieć o każdym słowie, każdym spojrzeniu, każdej myśli twojej. Będziesz mi opisywał, kiedy się ona uśmiechnie, kie-



I białą chustką ku niemu machała.

dy czoło zmarszczy, a kiedy cię za rękę uściśnie. O wszystkiem tym musisz mi donosić szczegółowo?...

— Ach, to napiszę istny romans. I jeszcze gotów potem kto wydrukować.

Ciocia Euzebia uśmiechnęła się, złożyła w kilkor serwetkę, a bawiąc się nią, rzekła po chwili:

— Nie lękaj się o wydrukowanie tego, cobyś mógł napisać.

— Czy sądzi ciocia że to byłoby takie słabe? Zdaje mi się, żebym wiele bardzo mógł dokonać, gdybym się naprawdę zakochał. Niebieskie oczy panny Sydonii, księżniczki z rodu, mogłyby ze mnie zrobić poetę, któryby tuzinami pisał wiersze i samemi końcówkami gadał. Ja to dzisiaj już czuję. Jakiś dreszcz przechodzi mi przez krzyże na samą myśl o tych błękitnych oczach. Są zapewne duże, z długą rzęsą i obracają się powoli. O widziałem ja takie oczy u Niemek. To też Niemka każda kocha się do upadłego!...

— Nie zużywaj napróżno wyobraźni swojej. Teraz tylko to ci powiadam, że znając całe położenie, mogę ci najlepsze dać rady. Na to jednak potrzeba mi szczegółowego raportu o wszystkiem, a według postępu sprawy, mogę ci od czasu do czasu dawać wskazówki, których będziesz się trzymał. Tylko kobieta może dobrze odgadnąć co się w sercu kobięcém dzieje, a do tego potrzebuję od ciebie relacji.

— Ba, a czy nie możnaby tak naprzód jakiś plan ułożyć? Jabym to wszystko punktualnie wykonał.

Ciocia Euzebia uśmiechnęła się, uderzyła Npecia po rękę, którą bębnił właśnie po talerzu, i odparła:

— Ty masz takie same wyobrażenie o prowadzeniu kampanii, jakie miał dawniejszy rząd austriacki podczas wojny francuskiej. Kancelarya wiedeńska posyłała plan wodzowi, a chociaż tymczasem działania nieprzyjaciela całe położenie zmieniły, musiał się trzymać planu nakreślonego.

— Bardzo słuszna uwaga. A więc z miejsca kampanii będę raporta nadsyłał, a ciocia stosownie do tego będzie mi rady dawać. Tak najlepiej. Mam otuchę, że za pomocą cioci wygram batalią.

— Ale powtarzam ci kuzynku, muszę mieć buletyny szczegółowe.

Dalszą rozmowę przerwała babcia i bifszyk, który teraz pojawił się na stole.

Przy babci wprowadzono znów ten temat do rozmowy, ale w odmienną formie. Mówiono wiele o konieczności spełnienia ostatniej woli ś. p. pana Witalisa i o Sydonii, która jest księżniczką z rodu. Wprawdzie miała babcia wiele rzeczy przeciw gniazdu z którego pochodziła Sydonia, ale ciocia Euzebia przytaczała mnóstwo radykalnych i ultrademokratycznych argumentów, że dziecko nie może odpowiadać za przewinienia rodziców, bo to byłaby niesprawiedliwość krzycząca i biędnej sierocie wyrządziłoby krzywdę niepowetowaną.

Zgodzono się wreszcie na to, że Npecio miał do państwa Alfonsów pojechać dla rozpatrzenia się, i dopiero ztamtąd dać cioci i babci bliższe wyjaśnienie.

Nazajutrz, ładnym, nowym ekwipażem, udał się Npecio w podróż, błogosławiony przez babcie, a uściśkany przez ciocię Euzebię. Długo jeszcze oglądał się po za siebie i widział z wielkim wzruszeniem, jak ciocia Euzebia, mimo mrozu i bólu zębów, na ganku białą chustką ku niemu machała...

III.

W osamotnionym dworze nastąpiła cisza, głucha cisza. Babunia otoczyła się dwoma pieskami i trzema kotami. Odmawiała koronkę na intencję dobrego powodzenia Npecia i kładła kabałę.

Ciocia Euzebia zamknęła się w pierwszym dniu do swego budoaru i tam cały dzień siedziała. Co tam przez ten czas robiła, tego ani Jan lokaj, ani panna służąca odgadnąć nie mogli. Wyszła na drugi dzień nieco bledsza, ale dosyć wesoła. Uśmiechała się jak dawniej i jak dawniej rozpoczęła kontrolowanie całego gospodarstwa. Wszyscy czuli napowrót jej oko na sobie ciężące, nie wyjmując nawet grubego Wojciecha, który najwięcej potrafił wyłamać się z pod jej dozoru.

Wszystko szło znowu dawnym trybem, dawnym porządkiem. Przy herbacie tylko widocznie dawał się we znaki osamotnionym kobietom długi, zimowy wieczór i brak zupełny obcego towarzystwa. Czasami tylko zagościł ojciec Celestyn i opowiadał babci bardzo wiele zajmujących rzeczy z pierwszych czasów chrześcijaństwa. Mówił o Neronie i Dyoklecjanie, o męczeńskich ofiarach wiary Chrystusowej.



...zaczęła kłaść kabałę.

Opowiadanie takie nadawało smutny koloryt tym wieczorom. Smutek ten jednak miał siłę pogrzejającą. Człowiek bowiem tylko wtedy czuje się szczęśliwym, gdy się do innych, mniej szczęśliwych, przymierzy.

Każda poczta była epoką dla kobiet osamotnionych. Babunia zabięrała się do modlitwy lub kabały, gdy nadchodziła godzina, w której konny posłaniec wracał z poczty. Za dwa dni jednak zarzucała kabałę, a zatrzymała tylko modlitwę; dziesięć bowiem razy najwyraźniej przy królu dzwonkowym

stał as karowy, co oznacza list z drogi, a listu od Nepcia nie było.

Ciocia Euzebia bladła zawsze przy ukazaniu się posłańca z poczty. Z pewną gorączką wybierała z torby gazety i inne sprawunki. Przeglądała starannie wszystkie rogi torby, ale listu od Nepcia jak nie było, tak nie było.

Dnia jednego wstąpił jakiś sąsiad do dworu, zjadł z babcią i ciocią smaczny obiad, i przy czarnej kawie napomknął, że Nepcio wybornie się bawi u państwa Alfonsów i jest już po oświadczeniach.

— Jakto, i przyjęty? zapytały razem obie kobiety.

— A tego nie wiem, odparł dobrodusznie sąsiad; słyszałem tylko o oświadczeniach, a bliżej nie wypytywałem. Zdaje się jednak rzeczą pewną, że albo jest przyjęty i siedzi koło swojej narzeczonej, albo, dla omylenia opinii publicznej, tak nagle od Alfonsów nie odjeżdża.

Ciocia i babunia zgodziły się także na te dwie możliwe alternatywy, które im mądry sąsiad wyjaśnił, ale to im wcale nie wystarczało. Babunia przeprosiła się z kabałą, kładła ją pięć razy, ale nic szczególnego nie złożyło się: dama karowa odbiegała od króla za każdym razem aż na drugi koniec stołu.

Ciocia Euzebia nie uciekała się do żadnej wróżby, tylko była zamyślona.

Sąsiad wypił kawę, wypalił cygaro, a widząc że babcia zajęta kabałą, a ciocia myślami, wstał z fotelu, pożegnał obie i odjechał z Panem Bogiem, zostawiając za sobą dwór w najczarniejszych domysłach.

Na drugi dzień po odwiedzinach sąsiada, przyjechał Żyd handlujący drzewem i opowiedział ciocie Euzebie, że był u pana Alfonsa i pięćdziesiąt morgów lasu zakupił. Widać że tam potrzeba na coś pieniędzy. Jedni mówią, że pan Alfons chce dać trzy bale, któreby rozgłos miały na całe pięć powiatów, a inni znowu utrzymują, że wyprawi zaręczyny czy wesele dla jakiejś księżniczki, która w ich domu bawi. Mówiono także o tym, że państwo Alfonsowie wybierają się do Lwowa, albo zagranicę, i dlatego czynią tyle przygotowań.

Zapytany o Nepcia, odpowiedział kupiec, że go sam nie widział, ale słyszał od arendarza, że między innymi także tam bawi. Jest tam bowiem mnóstwo młodych panów, którzy wyprawiają różne zabawy, to jadąc sanna, to ślizgając się po zamarzniętym stawie.

Więcej wiadomości o Nepciu nie można było zaczerpnąć. Dwa dni upłynęły znowu bez żadnej wieści. Trzeciego dnia była panna służąca za jakimś sprawunkiem w mieście i słyszała tam od powiatowej modniarki, że u państwa Alfonsów przygotowuje się coś wielkiego, jakieś imieniny czy ślub, bo z miasteczka wykupiono wszystkie świece stearynowe i wszystek cukier, tak że nawet burmistrz pije herbatę bez cukru, i to przy łojowej świecy. Prócz tego zabrano ze sklepów wszystkie tasiemki, a pani pocztmistrzowa chodzi bez sznurówki, w szerokim szarafanie...

Były to wiadomości dziwne, niepokojące, ale niczego nie można się było z nich domysleć.

Ósmego dnia po wyjeździe Nepcia, wzięła babunia talią kart z wielką uroczystością do ręki i podczas gdy ciocia Euzebia w zamyśleniu herbatę nalęwała, rzekła do niej:

— Słuchaj Zebciu! Mam dzisiaj jakieś nadzwyczajne przeczucie. Dzisiaj kabała powie wszystko. Trzeba tylko z góry wyrobić w sobie wiarę. Kto bez wiary do jakiegokolwiek rzeczy przystępuje, temu nigdy nic się nie uda. Otóż ja wierzę, że dzisiaj kabała prawdę powie. Czy i ty wierzysz?

— Chyba i ja wierzę, odpowiedziała zamyślona ciocia, zakręcając kurek od samowara.

Babcia włożyła na nos okulary, oczyściła pewną przetrzeźn stołu i z całą uroczystością rutynowanej kabalarki zaczęła kłaść karty od lewej ręki ku prawej, wilżąc za każdą kartą trzy palce.

Powoli, z różnymi uroczystymi pauzami odbywała się ta robota. Wreszcie przeszła babcia z niemąłem natężeniem myśli i oczu wszystkie karty, zapukała palcem w niektóre ważniejsze figury i rzekła:

— Coś źle wróży Nepciowi. Biędny Nepcio, będzie miał wypadek... i to wypadek nielada!... Ale ten wypadek, jakkolwiek bardzo niebezpieczny, może

się dla niego zakończyć bardzo szczęśliwie, jeżeli... dama trefle nie stanie temu na przeszkodzie... a ta dama, to jakaś niby krewna.

— Ej co też babcia mówi? któż z krewnych mógłby mu stanąć na przeszkodzie? podjęła ciocia Euzebia.

— A ja ci powiadam, że tak jest, a nie inaczej. Dama trefle, a przy niej jeszcze as karowy, to jakby ktoś z domowych.

Ciocia Euzebia nic na to nie odrzekła. Podparła ręką głowę i więcej nie patrzyła na kabałę.

— I cóż dalej mówią karty? zapytała po chwili.

— O jest tu wiele, bardzo wiele rzeczy. Jakieś liczne towarzystwo mężczyzn, i to młodych. Między nimi jest jedna młoda kobieta. Wszyscy garną się do niej. Ale ona tylko dla jednego ma afekt i na niego patrzy.

— I któż jest ten, na którego patrzy?

— Tego wiedzieć nie mogę; bo widzisz Zebciu, król karo i król kier tracą już tutaj zwykłe swoje role i oznaczają tylko mężczyzn w różnym wieku, stosownie do kart które ich otaczają.

Czy ten mężczyzna, na którego patrzy, jest młody?

— Tak... dosyć młody.

— A ten wypadek, który Nepciowi grozi?

— O ten wypadek, to jakieś wielkie, nadzwyczajne zmartwienie.

— Przecież nie pojedynk. Dla Boga! zawołała ciocia Euzebia i wstała nagle z fotelu.

— Nie wiem... a może i pojedynk, bo coś tak blisko śmierci...

Ciocia usiadła znowu na fotelu. Wtém otworzyły się drzwi i wszedł ojciec Celestyn.

— *Laudetur*, zawołał i skłonił się nisko.

— O jakże jegomość przychodzi nam w porę! My takie pomartwione! Patrz-no jegomość co ta kabała mówi.

Ksiądz Celestyn spojrział marsem na rozłożone karty, zatarł ręce i rzekł:

— Ja czytam w piśmie świętym i dziełach ludzi uczonych, a nie w kabale, mościa dobrodziejko.

— Ach! daruj nam jegomość, bo do czegoż zmartwienie nie skłoni człowieka? ozwała się babcia.

— Na cóż zmartwienie? Jeżeli zmartwienie było, to już prawdopodobnie przeminęło, bo inaczej mielibyśmy dzisiaj zaproszenie na kondukt żałobny. A jeżeli zaproszenia niema, to i nieboszczyka niema.

— Co mówisz jegomość? krzyknęły naraz obie kobiety, co za nieboszczyk?

— A naturalnie, gdyby był umarł, toby dziś był nieboszczykiem.

— Kto taki? zawołały z przerażeniem kobiety.

— Kto?... A jużci pan Nepomucen.

— Nepcio! Nepcio!... Jezus Marya!...

I obie kobiety załamały ręce.

Widząc to, ksiądz Celestyn spostrzegł się, że kobiety nic jeszcze o Nepciu nie wiedzą. Prędko więc zaczął:

— Widzę że strzeżli wielkiego baka, za co najuniżeniej przeproszam wielmożne panie dobrodziejki. Człowiek bowiem ma rozum dla drugich i umię gadać kazania niezle. Kiedy jednak dla siebie przyjdzie użyć tego rozumu, to zawsze gdzieś mu umknie, że go znaleźć nie może. Otóż i mnie tak się stało z tą nieszczęsną nowiną.

— Na miłość Boga! niechże dobrodziej mówi jak najprędzej co się stało! wołały kobiety.

— Nic takiego, odparł spokojnie ks. Celestyn, co by dawało nam powód do tak wielkiej alteracji, jaką widzę na twarzach obecnych. A zresztą i to co stać się mogło, nie jest jeszcze żadną wiarogodną powagą stwierdzone.

— Niechże nas ksiądz dobrodziej nie trzyma tak długo w niepewności!

— Ba, gdybym ja sam wiedział co pewnego? Jakżeż może człowiek dać innym to, czego sam nie ma?

— Więc co dobrodziej słyszałeś? ozwała się ciocia Euzebia z czołem pochmurnym.

— Ja wprawdzie nic nie słyszałem, ale organista mój był przedwczoraj w mieście i słyszał tam od cyrulika...

— Od cyrulika! Święty Boże miłosierny! zawołała babcia, załamując ręce. Kabała zgadła!

— Od cyrulika, ciągnął dalej ks. Celestyn, że

do państwa Alfonsów brano od niego wizykatorye i pijawki.

— Pijawki! to straszne rzeczy, wołała babcia, łamiąc ręce. Biędny Nepcio, sam jeden między obcymi ludźmi!... Kabała zgadła wszystko co do joty!... Wprawdzie co do tej krewniej...

— Niech babcia pozwoli dokończyć księdzu Celestynowi, przerwała ciocia Euzebia.

— Ja nie mam nic do dokończenia, odparł ksiądz Celestyn, niekontent ze swojej roli, bo sam nic więcej nie wiem. Organista dowiedział się tylko tyle od balwierza, że te pijawki i wizykatorya były dla naszego kolatora. Zamiast smutku i rozpacz, najchętniej będzie jeśli jutro odprawię nabożeństwo za ocalenie jego lub wyzdrowienie, stosownie do zaszłego wypadku, na które to nabożeństwo wielmożne panie zapraszam.

Babcia przyrzekła natychmiast, że przyjdzie z całym dworem na mszę świętą. Ciocia Euzebia nic nie odpowiedziała, tylko kilka chwil była zamyślona. Potem rzekła:

— Jakkolwiek bardzo chwalebnie jest rozpoczynać od Pana Boga, ale czasem lepiej zwrócić się pierw do ludzi, osobliwie gdy niebezpieczeństwo zagraża. Gdyby Samarytanin, obaczywszy podróżnego pławiącego się we krwi, zaczął był modlić się, nie nalawszy wina i oliwy na rany jego, nie wiem czy byłby rzeczywiście spełnił dobry uczynek.

— Bardzo słusznie mówisz dobrodziejka, bo Pana Boga o cuda tentować nie można. Pan Bóg błogosławi tylko pomoc ludzką... Ale tu cóż my pomożemy? Jeżeli było jakie niebezpieczeństwo, to już minęło. Na rany, jeżeli były, nalano już wina i oliwy, a nam teraz przystoi modlitwa tylko, i to modlitwa dziękczynna.

— Nie przeczę w tém dobrodziejowi, odparła ciocia Euzebia; ale niedość czasem na rany nalać wina i oliwy, trzeba je nadto przemywać i siedzieć przy chorym, aby go pielęgnować. Otóż tak zrobimy. Podzielimy się z babcią. Babcia wybierze część lepszą i pójdzie na jutrzejsze nabożeństwo, a ja tylko w komórcie swojej pomodłę się Bogu, a skoro świt, wyjadę do państwa Alfonsów.

Rzekłszy to, nie czekała odpowiedzi, tylko wstała i wyszła do garderoby, aby tam wydać stosowne rozkazy do jutrzejszej podróży. Ks. Celestyn i babunia prawdopodobnie zgadzali się z tą myślą, bo nic nie mówili.

Jeszcze czas niejaki rozprawiano o tej złowrogię nowinie. Tworzono najrozmaitsze przypuszczenia i zbijano je kolejną. Jakis duch opozycy panował w towarzystwie. Cokolwiek ks. Celestyn wymyślił, to zbijała babcia, a co ta ostatnia, według bliższych wskazówek kabalistycznych, przypuszczała, przeciw temu powstawał ks. Celestyn z całą gorliwością kapłana. Jedna tylko ciocia Euzebia nic nie przypuszczała i żadnych domysłów nie tworzyła. Była tylko zamyślona i słuchała walki między księdzem Celestynem a babcią z uśmiechem ironicznym.

O dziesiątej godzinie wyszedł ojciec Celestyn, strasznie niekontent z siebie, że źle zaaplikowaną nowiną popsuł kobietom i sobie długi zimowy wieczorek, na który od kilku dni tak wiele liczył. Babcia siadła jeszcze do kabały, o której miała od tej chwili jeszcze wyższe wyobrażenie, a ciocia Euzebia odeszła do swego pokoiku, aby do jutrzejszej podróży wszystko przygotować.

O godzinie drugiej po północy, gdy już cały dwór, prócz cioci, na piękne zasypiał, zastukała panna służąca do drzwi stariej panny i oddała jej list szarą nicią związany, na którym było napisane: „przez umyślnego.“ Prócz tego były tam inne jeszcze znaki pocztowe, czarne i czerwone, ale ciocia Euzebia nie zważała na nie; kazawszy zaspokoić posłańca, zamknęła drzwi, rozłamała pieczętkę i zaczęła szybko czytać. List był tej treści:

— „Nie wiem co ci ludzie robią, którzy książki pisać muszą. Jest to rzemiosło bardzo uciążliwe. Przyznam się cioci (ten wyraz był zmasany) kuzynce, że wołałbym drzewo rąbać, albo snopy w półkopki składać. Od dnia dzisiejszego będę miał wielki respekt przed tymi ludźmi. Toż to rzecz nielada suwać kilka dni piórem po papierze, nie mówiąc już o tém, jeśli w głowie niema konceptu. I Salomon

nie należe z próżnego, jak tam gdzieś w biblii stoi, a do mnie to zdanie wybornie da się zastosować. Gdyby nie szkaradny wypadek, co zmusza mnie już trzeci dzień w pokoju siedzieć, może dotąd jeszcze nie zdobyłbym się na raport, który cioci Euzebii tak uroczyste przyobiecałem. Ale o tym wypadku w swoim miejscu, gdzie będzie bardzo potrzebnym. Tymczasem według chronologii zaczynam.

Najprzód muszę jeszcze podziękować cioci za list, który zaraz na drugi dzień po moim przyjeździe tutaj otrzymałem. Zawiera on wyborne szczegóły, jakim sposobem mam się dobrać do serduszka panny Sydonii.

Owóż czyniąc tym przepisom zadość, zastanowiłem się zaraz przy pierwszym punkcie. Pierwszy punkt opiewał, abym piérwój, nim jakiebądź kroki rozpocznę, rozpatrzył się w ogólnej sytuacji. Otóż rozpatrywałem się przez kilka dni i zastałem rzeczy jak następuje.

Przedewszystkiemu potrzeba zacząć od Sydonii. Przyjechałszy do państwa Alfonsów, nie zaraz ją zobaczyłem. Nie przyszła nawet do herbaty, tłumacząc się że jest cierpiącą. Nie poszło mi to w smak, bo strasznie byłem ciekawy poznać ją. Tyle o niej słyszałem; tyle tam na miejscu zastałem jakiegoś hałasu, który zawsze koło ładnej kobiety się tworzy, a zresztą, mówiąc prawdę, tyle także namarzyłem się już o niej przez całą drogę, iż na wiadomość o niedyspozycyi panny Sydonii, przez cały czas herbaty byłem zamyślony i wcale korzystnie wydać się nie mogłem. Szczęście że nie było kobiet któreby mnie bliżej obchodziły, tylko jakiś prawnik, pan Henryk. Ale o nim później, bo mi dosyć sadła za skórę zalał.

Otóż przesiadłem jak mruk cały wieczór przy herbacie. Poprawiłem sobie wprawdzie opinią tēm, że siadłem do pikietu z panem Alfonsem i kilka dukatów przegrałem; w końcu jednak i to mi się przykrzyło, co widząc pan Alfons, przestał grać, a zawoławszy lokaja, kazał mnie ze świecą odprowadzić do mego pokoju.

Przeszedłem kilka ciemnych, krzyżujących się korytarzyków przy samym końcu dworu. Na zapytanie moje dlaczego w olicynach mnie nie ulokowano, odpowiedział lokaj, że tam pokoje zajęte. Zresztą i mój pokój był dosyć wygodny, bo miał osobny korytarzyk i był od całego dworu zupełnie odcięty.

Wszedłszy tam, stosownie do rady cioci, rozpatrzyłem się; ale prócz czterech ścian i wykwintnych mebli, nic nie spostrzegłem. Idąc dalej za radą cioci, zapytałem służącego, kto po jednéj, a kto po drugiey stronie mieszka, chociaż żadnych drzwi w ścianie nie było. Lokaj odpowiedział mi, że dwie ściany wychodzą wprost na dwór, a więc nikt za nimi mieszkać nie może, a trzecia dzieli mnie od panny Sydonii, a raczej od jej saloniku... Przyznasz, kochana ciociu, że nader miły być musiał dreszcz, który mnie w tej chwili przeszedł. Pożegnałem prędko służącego, aby został samotnym, bo samotności potrzeba mi było w tej chwili.

Przyznam się cioci, że nigdy wiele się nie uczyłem, bo mając majątek, nie potrzebowałem nauki. Otóż nie zaprawiałem się nawet do myśli, ani do marzeń, bo nieboszczyk papcio powiedział mi, że marzenia to tylko dla ludzi biednych, którzy nie mają za co kupić sobie rzeczywistości. A jednak czegoż to miłość, a raczej przecucie miłości, nie zrobi z człowieka!... Ciociu, ja myślałem i marzyłem!...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Ze świata muzycznego.

Koncerta symfoniczne orkiestry teatralnej mają się podobno nadal odbywać w resursie Obywatelskiej i wieczorem. Ta zmiana godziny zapewne wiele wpłynie na ich powodzenie, gdyż dla każdego ta pora jest dogodniejszą niż godziny ranne. Tylekroć powtarzaliśmy że te koncerty warte są poparcia i uznania ogólnego, że to już dzisiaj wyda się zbyt późnym; jednak nie możemy o tēm zamilczeć, że ostatni koncert okazał zadziwiający postęp. Już nie *dobrze* wykonane były niektóre ustępy, ale *dosko-*

nale. Szczególniej da się to powiedzieć o dwóch ostatnich częściach symfonii B dur Beethovena. Co za życie i jedność w rytmie! jaka jasność w pasażach najbardziej nawet zakłóconych! Pamiętamy że przy piérwszém tej symfonii wykonaniu, kilka miesięcy temu, w scherzo był jakiś zamęt, głównie pochodzący ze zbyt szybkiego tempa; teraz owę jasność i przejrzystość wykonania przypisujemy między innymi właściwemu ruchowi, w jakim zostały wzięte dwie ostatnie części symfonii. Bo tēz w oddaniu dzieł orkiestrowych, tempo jest jednym z najważniejszych warunków do zachowania. Solista na jakimś instrumencie może sobie niekiedy pozwolić zmiany tempa, czy dla wykazania świetności mechanizmu, czy dla dogodzenia chwilowemu usposobieniu, i z pewnością piękność utworu mniej na tēm straci, niż gdy podobny błąd popełni dyrektor orkiestry. Różnica właściwego tempa od mniej właściwego jest często tak drobna, że wskazać ją trudno; zresztą nie wszyscy jednakowo ją pojmować mogą. Dlatego bez czynienia wielkiego nacisku powiemy, że według naszego *osobistego* wrażenia, dwa adagia (z symfonii Beethovena i z kwintetu A dur Mozarta) wydały się nam jeszcze niedość wolno zagrane. Co do adagia Mozarta, chcielibyśmy więcej miękkości w zadęciu klarynetu, więcej spokoju w całości; jest to bowiem jedna z najpiękniejszych melodyj, jakie wydała na świat anielska dusza Mozarta.

Dopełniały programu uwertura Kurpińskiego *Kalmora*, Cherubiniego *Medea* i wielka aria z *Odpustu w Ploermel* Meyerbeera, odśpiewana bardzo pięknie przez p. Koehlera.

Ponieważ tyle mówiliśmy o tempie, spróbujemy z tegoż samego stanowiska ocenić wznowienie Cyrulika sewilskiego w Wielkim teatrze. Szło ono dobrze, zgodnie od początku do końca, ale jednak brak było samodzielności, pewności siebie w artystach. Tempa były zawolne, szło więc wszystko cokolwiek bez życia. Prawda, że dawno już u nas nie grano opery w tym rodzaju co Cyrulik, a dla młodszych naszych artystów ten rodzaj był prawie nowością; cóż więc dziwnego że głównie starali się o to, aby się nie pomylić, i że to natężenie uwagi paraliżowało swobodę ich gry i ruchów. Co się więc tyczy swobody wykonania, jesteśmy przekonani, że po kilku przedstawieniach pod tym względem nie będzie nic do zarzucenia; zrobimy jednakże jeszcze kilka uwag które nam się zdają koniecznymi. Hrabieciu Al-maviva życzylibyśmy, aby był więcej *hrabią* w swych ruchach. Śpiew Filleborna bardzo się nam podobał w tej roli; z początku tylko zdawało nam się, że artysta nie był zupełnie panem siebie. Drugą serenadę odśpiewał przesłicznie, a ostatni duet w piérwszym akcie (Almaviva i Figaro) najlepiej mu się udał z całej opery. Rozyna zanadto robi dodatków w swojej piérwszój arii. Wprawdzie to już oddawna w modę weszło, że z Rossinim śpiewacy i śpiewaczki postępują sobie bez ceremonii; ale to wcale nie jest do naśladowania. Don Basilio, zdaniem naszym, zanadto jest skarykaturowany; aria „la calunnia” potrzebuje więcej głosu. Z początku niech będzie piano, pianissimo, i owszem; ale w miarę wzrastania sił w orkiestrze, powinna rosnąć i potęga głosu, a wtedy dopiero wybuch *fortissimo* zrobi wrażenie. P. Kozieradzki jest wybornym w roli doktora. Figaro w niektórych ustępach nie zostawia do życzenia.

W poniedziałek d. 9 b. m. odbył się w resursie Obywatelskiej piérwszy wieczór muzyczny dwóch połączonych kwartetów: pp. Angra i Studzińskiego. Życzymy najlepszego powodzenia tym koncertom, które równie jak i symfoniczne, wielce wpłynąć mogą na ukształcenie smaku muzycznego. Wprawdzie czysty kwartet smyczkowy właściwiej zdaje się być przeznaczonym do niewielkiego pokoju i dla niewielkiego słuchaczów grona; mimo to jednak wszędzie za granicą ten rodzaj muzyki wykonywany bywa z powodzeniem publicznie. Prawdziwym typem tego rodzaju są kwartety starego Hajdna; on to piérwszy stworzył tę nieskończoną różnorodność rytmów, on to z największą swobodą i łatwością przeprowadzał owe figlarne rozmowy między czterema instrumentami. Sala resursy Obywatelskiej nie jest, zdaje mi się, bardzo dogodną do kwartetowej muzyki; trzeba więc słuchać z podwojoną uwagą, aby szczegółów nie stracić. Mimo to wrażenie otrzymane przez publiczność było jaknajkorzystniejsze. Zaraz z po-

czątku piękne adagio Mendelssohna (z kwintetu B dur) zostało okryte grzmotem oklasków. Od tej chwili zawiązał się sympatyczny węzeł między artystami i ich słuchaczami, i tak było aż do końca. Podwójny kwartet wokalny p. Studzińskiego jest zachwycający. Większej czystości intonacji znaleźć nigdzie niepodobna. Kwartet taki przynosi chlubę p. Studzińskiemu, który go utworzył i wykształcił, a wchodzi w skład jego tacy artyści, jak Cieślowski, Kozieradzki, Borkowski. Dwa ustępy solo, odśpiewane przez pannę Jaroszewiczównę, okazały nam w niej artystkę obdarzoną ślicznym głosem, jeszcze niezbyt mocnym, ale dość wyrobionym. W mazurku Szopena dużo było prawdy i wdzięku, słowem wiele przymiotów i więcej jeszcze na przyszłość obietnic.

Jan Kleczyński.

WYZNANIE.

Anielskie sny, niepokalanych dni westchnienia,
I pieśni me dyamentami łez płynące,
I burze walk i dum posągowe rojenia,
I serce to gladiatora, ukrwią broczące,
Ach, wszystko tobem niósł, o bóstwo czarujące!
Kobięto! pani marzenia!

Ty — zawsze ty — jak na kamei starożytniej,
W obrazach mych białem wykwiatałaś obliczem...
Bez ciebie świat — jak niebo o kopule szczytnej
Posępnych chmur — jak noc — jak śmierć — był dla
[mnie niczem...
O ty — omglona piany płaszczem tajemniczym!..
Kochanko fali błękitnej!..

Gdziem tylko spotkał cię w powiewnych twoich
[szatach,
Z miłośném, pełném drgnień, jak dwie turkawki,
[lonem, —
Już miejsce to, gdzie stałaś ty, było mi tronem, —
I kładłem skroń u nóżek drobnych — jak na kwia-
[tach,
Choć był to nieraz głąz, choć miałem wstać zra-
[nionym,
Ze wstydem i wiarą w szmatach...

I w czémże jest ten wdzięk, co opromienia ciebie?
Czy w muzyce pieszczotliwej głosu srebrnego?
Czy w siódlach barwnych zdrad? Czy w pieszczot
[twoich niebie?
Nie! nie!... twój czar nie może być ciemnością
[złego!..
Bo jasny tylko duch odtwarza w pięknie siebie...
Tyś piękna... dosyć mi tego!

Choć wiele młodych serc na twojem sercu ginie,
Choć wielu śmierci jad z usteczek twych wypija:
Lecz winien ten, co zdradnej podobny gadzinie,
Szlachetną pierś twą splotem namiętnym obwija,
I zarażając wciąż trucizną swą naczynie,
Sam siebie, pijąc, zabija.

A więc mi świeć, o gwiazdka śliczna, w każdej
[dobie
Blaskami duszy swój i postaci urokiem!..
Ideal piękna mój objawił mi się w tobie;
Więc kocham cię, o pani, myślą, sercem, okiem,
Śród szczęścia mgnień i w upadku ducha głę-
[bokim,
Śród gwaru uczt i na grobie!..

L. Sowiński.

Mściław Kamiński.

Wielu już w ścisłych badaniach i w polotnych wyobraźni utworach opisywało żywot nieznanego dawnym czasem literackiego proletaryatu, spłodzonego wytworzeniem się przemysłu fabrycznego umysłowości. Lecz nie stawało pono mężkiej odwagi na otwarte wyznanie, jak w takim życiu snuje się nieprzerwanie tkanina pogrzebowego całunu dla sił fizycznych i moralnych pracownika, dopóki śmierć dobrotliwa nie przymknie jego znużonych oczu i trudu za niego nie skończy.

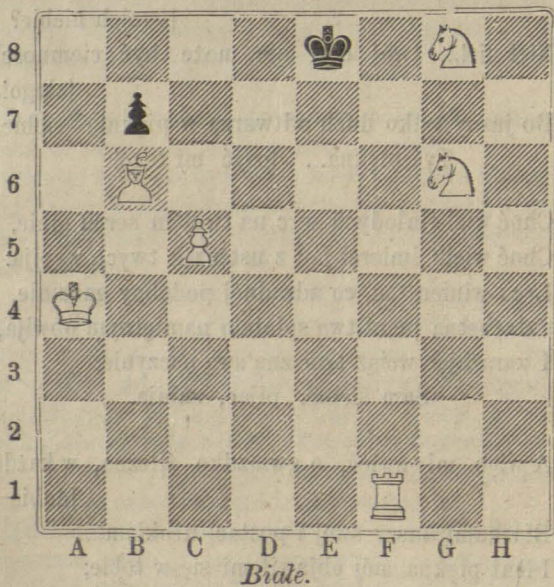
Ale zostawmy lichwiarzom słodycz rozpamiętywania czém jesteście, a przejdźmy do króciuchnego wspomnienia nad świeżo zawartą mogiłą jednego z braci-rzemieślników.

Krótki był żywot śp. Mściława Kamińskiego iniebogaty w wydarzenia. Urodził się d. 15 kwietnia 1839 r. w powiecie wilkomierskim, we wsi Radecku, dziedzicznej jego dziadów po matce, Julii z Mikuliczów. Ojciec jego Adam, zdolny nauczyciel rysunków i kaligrafii w szkole najprzód wydziałowej, a następnie szlacheckiej w Traskunach, odumarł go w dziewięć miesięcy po jego urodzeniu. Pozbawiony hartowniejszej opieki ojcowskiej, przy staraniach kochającej choć niezamożnej matki, oddany z razu do szkoły powiatowej wilkomierskiej, nauki gimnazjalne ukończył w Wilnie i wstąpił w r. 1860 do Akademii medyko-chirurgicznej w Warszawie, z zamiarem kształcenia się na lekarza. Atoli po dwóch latach nauki, gdy górująca wrażliwość nie pozwoliła mu uczyć się anatomii na trupach, tak iż kilkakrotnie zemdlął przy tej czynności, — musiał opuścić w roku 1862 Akademię i przeniósł się na mieszkanie do Wilna. Już będąc w Warszawie, częstokroć szklanką mleka i bułeczką obiad zbywał, ażeby kupić jakąś upatrzoną książeczkę. Po zaniechaniu nauki medycyny, ta skłonność do piśmiennictwa ostatecznie odniosła nad nim zwycięstwo i wprowadziła go w szeregi piórem pracujących. W r. 1863 połączył się związkiem małżeńskim z siostrą znanego pisarza agronomicznego Tomasza Snarskiego, i zamknęty w kółku rodzinnym, od rana do nocy już niemal nie wstawał od stolika. W maju 1866 r. przeniósł się z Wilna do Warszawy, i tu w kwiecie męskiego wieku zakończył spracowane życie d. 30 zeszłego października.

Szachy.

ZADANIE XXXVII.

Białe zaczynają i dają mata za 3-ém posunięciem.
Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 36.

Białe.

Czarne.

- 1) H5 — D5 biorą . . . 1) E6 — D5 biorą.
- 2) G3 — G4 2) D5 — E4 biorą.
- 3) G8 — B3 + i mat.
- 2) B5 — C3 +.
- 3) E4 — E3 biorą + i mat.

Działalność literacka Kamińskiego, rozproszona na tysiączne kierunki, jak zwykle przy robocie dla chleba, gdzie nie niema takiego, czegoby umieć nie należało, poczynając od ulepszonych kucia koni, aż do fizjologii mieszkańców Neptuna, — wzięta w swojej całości, była ogromna, zwłaszcza że ledwo sześć lat życia zawodowi pisarskiemu zdołał poświęcić. Ze spisu, który po powrotnym przybyciu do Warszawy ułożył, widziemy, iż w przeciągu półtrzecia roku, od



Mściław Kamiński. (Podług fotografii Fajansa)

maja 1866 do października r. b., napisał wielorakięj objętości i treści 620 artykułów. Niektóre z nich, ma się rozumieć, składały się z kilkunastu, a nawet kilku wierszy, jako zwykle wiadomości dziennikarskie, dorywczo na papier rzucane; ale były też między niemi prace wymagające mozolnego ślęczenia, poważniejsze rozmiarem i treścią. Trudno się dziwić, iż przy takim rozproszeniu i nękanu władz umysłowych, nie było czasu i środków na bezdenne zaciekawienia, na lśniące oryginalnością wybuchy, na orle rzuty oka, obejmujące wielkie przestwory miejsca i czasu.

Pierwsze wystąpienie na niwie literackiej w r. 1862 odbył Mściław Kamiński w *Kuryerze Wileńskim*, w którym pod pseudonimem Dyogenesa wileńskiego drukował humorystyczne szkice obyczajowe: *Gładsze*, *Pogadanki*, *Wycieczka na wieś* i t. p. Następnie, po zgonie Ludwika Kondratowicza, który miejscową kronikę bieżącą dla tego pisma układał, Kamiński objął po nim rubrykę tak zwanych *Przeglądów miejscowych*, w których ważniejsze zjawiska na bruku wileńskim, na poły żartobliwie, na poły poważnie roztrząsał. Prócz tego pisał do *Kuryera* rozliczne luźne artykuły z dziedziny nauk przyrodzonych, oraz tłumaczył i streszczał rzeczy literackie z pism zagranicznych. Z tej epoki młodzieńczego jeszcze usposobienia datuje początek jego ciekawej książki: którą w następnych latach ukończył: *Kobięta, miłość i małżeństwo*, czyli zbiór zdań, myśli i epigramatów najslawniejszych pisarzy, poetów i filozofów, o kobiecie dziewicy, mężatce, przyjaciółce, oraz o miłości i małżeństwie. Dzieło to, w którym na 536 stronicach w ówczesnej, pilnie zgromadził i trafnie zestawił na sposób Deschanela najsprzecznějšíe opinie o kobiecie pisarzy różnych wieków i narodów, a przedewszystkiem krajowych, dotąd pozostaje w rękopiśmie.

O robienie wierszy, ile się zdaje, Kamiński nigdy się nie kusił; natomiast próbował pisać powiastki, których kilka mamy w druku, a kilka przostało w ukryciu. Najobszerniejsza z nich, tendencyjna powieść *Krańcowi*, była w r. 1865 drukowana w *Rodzinnie*; autor zarówno niepochebnymi barwami maluje w niej zacofanych konserwatystów Krzyckich, jak

i mniemanych o przewróconej głowie postępówców Nowakowiczów, a dopiero w osobie świątłego Sochy, gruntującego postęp dziejowy na spójni przeszłości z przyszłością, upatruje prawdziwy ideał członka społeczeństwa. W innych, pomniejszych obrazkach stara się nie tyle o tendencją, ile raczej o malowanie postaci typowych, szczególnie staroświeckich, co częstokroć nader szczęśliwie mu się udaje. Do takich należy: *Słowo o panu podkomorzym*, ojcju chrzestnym autora, umieszczone w *Tygodniku Ilustrowanym*, oraz *Pieniacze zaszciankowi*, coś naksztalt *Zemsty* za mur graniczny, w *Opiekunie domowym*. W rękopiśmie pozostały: *On był ladaco*, *Tajemniczy Pustelnik* i *Obrazek z czasów cholery*. Prócz tego Kamiński tłumaczył kilka mniejszych lub większych powieści: *Znotatek angielskiego policyjnego agenta*, *Tyrallierowie meksykańscy* Mayne Reada, *Parostatek Delfin* Verne'a i *Nurek*. Pierwszą z nich umieściły *Kłosy*, inne pozostają w rękopiśmie. Przełożył też prozą Szekspirowską *Komedję Omyłek*, którą niewykończoną znaleźliśmy w brulionie.

Lubił Kamiński historią i rad wybiegał na jej obszary; skromna po nim biblioteczka przeważnie z prac dziejopisarskich się składa. Lecz na studia historyczne, wymagające ogromu czasu, rozległych pomocy naukowych i częstokroć nieskąpnych środków pieniężnych, przy pracy dla wyżywienia rodziny zdobyć się nie miał możliwości. Napisał jednak z dziesiątek poważnych artykułów monograficznych: *Ratusz wileński*, *Kościół św. Teresy w Wilnie*, *Antokol*, *Wilkomierz*, *Kaplica P. Jezusa w katedrze warszawskiej*, oraz zyciorysy: *Zofii Dąbrowskiej*, przed kilku laty zmarłej w Wilnie, założycielki przytulku dla starców i kalek, ks. *Juliana Moszyńskiego*, *Leona Borowskiego*, *Damela* i kilka innych. Większa część tych artykułów znalazła miejsce na kartach niniejszego pisma, i czytelnicy przypomniawszy sobie artykuły o Borowskim lub Dąbrowskiej, sami ocenić potrafią pracowitość, sumiennosc i miłość dobrego w autorze.

Ale najmiłsze dla Kamińskiego było nurtowanie w sferze duchowej ludu wiejskiego, w jego życiu domowym, obyczajach, zwyczajach, przysłowia, pieśniach i podaniach. Urodzony w zbiegu trzech rozmaitych odcieni kierunku umysłowego ludu litewskiego, rusińskiego i polskiego, od dzieciństwa

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 45.

Acz artykuły prawa obowiązki stanowią, ludzie je przekraczają.

(Dodatek.)

Przegląd piśmienniczy.

(Dokończenie.)

zostawał pod wrażeniem tego wszystkiego, co wieśniak jako świętość przekazuje z pokolenia w pokolenie. Ukochał ten staroświecki obyczaj, przejął się nawet sposobem myślenia ludu, a dalsze ukształcenie już tych wrażeń pierwotnych zatrzeć nie mogło, tylko je oświeciło nauką. Pod wpływem tego kierunku powstały najlepsze prace Kamińskiego: *Obrzędy weselne ludu w Wilkomińskim, Sekmine czyli Zielone Świątki na Litwie, Dożynki i okrzęne na Litwie, Tańce ludu nadwilejskiego, O zwyczajach ludu mińskiego, Przysłowia ludu mińskiego, Raudono Krutinis, O poetycznych wyobrażeniach Litwy i ludu krywickiego, wreszcie Miłość i jej przejawy u ludu wiejskiego*. Parę tych prac zamieściły *Kłosa* i *Biblioteka Warszawska*; wszystkie inne drukował *Tygodnik Ilustrowany*. Zaśługa Kamińskiego w tej sferze, stawia go na równi z Łukaszem Gołębiowskim.

Marzył Kamiński o dopełnieniu i zlanu tego wszystkiego w jedną organiczną całość, o porównawczym opracowaniu przedmiotu, łącznie z odpowiedniami rzeczami ludowymi innych narodów, co przy szczerzej miłości obranego zadania i ludu, stałoby się nieocenionym nabytkiem; wiemy bowiem na jakie manowce niedostatek owiej miłości zaprowadził Nowosielskiego i Berwińskiego, tego ostatniego aż do zaprzeczenia wszelkiej twórczości własnemu ludowi. Takim powodowany zamiarem, gotując budulec do rozległego gmachu, pracował śp. Mściława nad pojedynczymi zwyczajami rozmaitych ludów zbiorowo, i w ten sposób powstały: *Pierścień jako ozdoba, symbol, godło władzy, narzędzie cesarów lub zbrodni, Talizmany i amulety, Nowy Rok u rozmaitych ludów, Guleńskie sposoby leczenia, Obyczaje i zwyczaje Samojeńców i Eskimosów, Ludzie-zwierzęta* i wiele innych pomniejszych, drukowanych po rozmaitych czasopiśmie. Ostatnią na tej drodze robotą miała być obszerna rozprawa *O przesądach*, nad którą przez cztery lata pracował. Ale prócz drukowanego ułamku o przesądach marynarskich, tudzież drugiego w rękopiśmie o przesądach gospodarskich, reszta została jako kupa luźnych notatek, z których nie wiemy czy obca ręka coś wykrzesać potrafi.

W dalsze szczegółowe wyliczanie prac śp. Kamińskiego zapuszczać nam się niepodobna. Od *Biblioteki Warszawskiej* aż do *Zorzy i kalendarzy*, niemal wszystkie pisma czasowe warszawskie zamieszczały artykuły jego pióra. Pisał rzeczy popularne z nauk przyrodzonych, o higienie trucizn, o fizjologicznych czynnościach żołądka, o elektryczności i winorośli; pisał wspomnienia podróży po Puszczynie i okolicach Warszawy; pisał z dziedziny moralności o powołaniu nauczycielskim, o świętości ogniska rodzinnego, o grzeczności; tłumaczył dla Orgelbranda książeczki dziecięce; układał mozaikę zdań moralnych dla *Rodziny*; tłumaczył *Zarysy Ameryki* dla *Biblioteki*; pisał Rozmaitości dla *Kuryera Warszawskiego* i t. d. i t. d.

Jak przy tym wszystkiemu mógł jeszcze znaleźć czas na lekcje, tego prawie zrozumieć niepodobna. Był jednak w Wilnie nauczycielem dziatwy znanego poety Tomasza Zana i wnuka księżny Ogińskiej, a tutaj wykładał początki nauk w domu hr. Potockich. Dopiero z wiosną r. z. wzmagające się początki suchot gardlanych oderwały go od lekcji; lecz pióra aż do ostatniej niemal chwili z rąk nie wypuścił.

Ledwo potrzeba wspominać, że ciężko było śp. Kamińskiemu rozstać się z ziemskim padołem, gdy wiedział, że zostająca w sieroctwie wdowa i dwoje drobnych dzieci nie mają żadnego zabezpieczenia przyszłości. Kiedyś Horacyusza od natrętnika uwolnił Apollo; lecz u nas nigdy jeszcze sierot po literacie nie dźwignął z toni, jeżeli innych sposobów ratunku znaleźć nie umiały. Dziwna zaprawdę lekkomyślność, czy też niepowściągnięte umiłowanie słonecznej światłości, że mimo tego wszystkiego nigdy opieszalemu bóstwu na służebnikach nie zbywa.

Wojciech Gerson w *Gazecie Warszawskiej* przekłada wydawcom pism Kamińskiego, aby przebrańsze jego prace, porozumiawszy się z sobą o format i czeionki, częściowo bezpłatnie wydrukowali i w jedną książkę złożyli na korzyść sierot. Oby tę myśl szlachetną wzięto do serca i przywiedziono do skutku!

W. Korotyński.

Autor część astronomiczno-fizjologiczną rozdziela na dwie księgi. W księdze zatytułowanej: *Światy planetarne*, mówi nam o naturze i wpływie słońca, o ciężeniu powszechnym; przebiega planety, ich wielkości, stosunki porównawcze, co stanowi dość treściwy opis systematu słonecznego, a przytém powiększa ten dział badaniem porównawczym planet, gdzie znowu znajdujemy określenie stanowiska ziemi i warunki zamieszkalności światów, rozbiórane bardzo szczegółowo. Księga trzecia, obejmująca *Fizjologię istot*, rozpada się na trzy części: *Istoty na ziemi, Życie i Zamieszkalność ziemi*. Autor tu opisuje kształtowanie się istot, jako zależne od czasu, miejsca i żywiołu otaczającego zdumiewającą rozmaitość organizmów; prawo jedności i solidarności; życie powszechne. Dalej wyprowadza wnioski wspierające doktrynę wielości światów, kręśli stan astronomiczny ziemi, obznajmia ze znaczeniem pochyłości ekliptyki, wskazuje trudności życia ludzkiego, wypływające ze stanu fizycznego ziemi i udowadnia, że ona nie używa bynajmniej lepszych warunków bytu, że przeciwnie, w porównaniu z innymi światami, jest wcale nieszczególnie uposażoną. W dodatkowej księdze, noszącej tytuł *Niebiosa*, autor wtajemnicza nas w nieskończoność. Siedem miliardów mil naszego systemu planetarnego, to ilość *nie znacząca*, w porównaniu z niezmiernym przestworem, bez końca, bez granic, bez cyfry.

Księga ta jest jakby przejściem do działu dotyczącego kwestyj filozoficznych i teologicznych. Jak widziemy, bogactwo treści tu niezmiernie, plan szeroki, powiedzielibyśmy nawet zarozległy, wybiegający bowiem po za granice w które się wolno naturalistycznie zapuszczać. Schodzić z pola doświadczeń i ścisłej obserwacji, jest to dobrowolnie narażać się na zbłąkanie w drogach przepaściwych. Flammarion miał jednak tę odwagę. Czy siły jęj wyrównywały — nie powiemy. W oceanie kwestyj metafizycznych, łatwo utonąć pływakowi nieoswojonemu z żywiołem. Tu nie wystarcza śmiałość, ani środki jakimi miłośnik przyrody, a raczej jęj badacz, może rozporządzać.

Przeoglądając dział astronomii, zbyt surowy krytyk dostrzegłby może niezgodność z dzisiejszym stanem nauki, we względzie zapatrywania się autora na ustrój fizyczny kuli słonecznej. Spostrzeżenia nowsze p. Faye, stwierdzone obserwacjami widma słonecznego, dokonane obecnie w Indyach nad zaćmieniem ostatnim tego niebieskiego ciała, okazały: że ono jest olbrzymią kulą gazową, a tęp samém zachwiały stanowczo hipotezę Herschla, na którą się Flammarion powołuje. Zwróćmy jednak uwagę, że pisał on swe dzieło przed odkryciem znakomitego astronoma francuzkiego, że zresztą teoryi dwóch atmosfer niezupełnie dowierza.

Nie zgodzilibyśmy się również z autorem na opinię jego względem zaludnienia księżycy. „Chociażby, powiada on, obserwacje najzupełniej pokazywały że księżyc nie ma atmosfery, a tęp samém że ciała płynne nie mogą istnieć na jego półkuli ku nam zwróconej, to jeszczeby to niedowodziło niezamieszkalności tego satelity ziemi. Księżyc ma drugą półkulę, przed wrokiem naszym całkowicie zaslonioną, która nigdy nam znaną nie będzie. Tam wody mogą przerzynać lądy stałe, żyzne i urodzajne, lasy cieniste okrywać wzgórza; tam zwierzęta mogą znajdować schronienie i warunki swego bytu; tam nareszcie ludność żyć i kwitnąć może, kiedy my jęj istnienia nawet domyślać się nie zdołamy!“ — Pogląd taki jest przypuszczeniem bardzo dowolnym i słabym. Że tarcza księżycowa jedną tylko zawsze stronę ku nam zwraca, nie wypada ztąd wcale aby zakryta jęj część odwrotna miała odmienny ustrój fizyczny. Na jednej i tępże samej bryle trudno dopuszczać takich różnic. Chybaby druga połowa księżycy z odmienną materią kosmiczną wytworzona była; co znowu wprost się sprzeciwia logice, że nie powiemy spostrzeżeniom opartym na odkryciach nowszych, dotyczących bu-

dowy fizycznej księżycy. Na tym satelicie ziemi, co i Flourens przypuszcza, rozwijało się niegdyś życie; ale dziś raczejby go uważać można za kulę pozbawioną ożywionych tworów, za pustynię, na której martwota panuje. Flammarion zdaje się dostrzegać tego błędu, dalej bowiem powiada: „Kwestya ta nie może być rozwiązana, bo i za i przeciw niej zarówno wystąpić można.“

Dział fizjologiczny znakomicie jest opracowany. Rzadko gdzie znajdujemy myśl luźną; pogląd wszędzie szeroki, wsparty silną dyalektyką, porywającą czytelnika. Niekiedy jednak przerzuca się w dziwne teorye. Odrzuca on ziemię, brana przez innych pisarzy za jedność porównawczą, celem stawiania wniosków o warunkach biologicznych innych planet, pomimo to, że kula ziemiska z tępże materią kosmiczną co inne bryły w przestrzeni wirujące powstała.

„Czyż wszechmocna natura, zapytuje dalej, nie mogła stwarzać bez pewnej i oznaczonej liczby równoważników kwasorodu i azotu, życia zwierzęcego i roślinnego?“ Rozumiemy że powstawanie organizmów zależne jest od wielu warunków, a zwłaszcza od otaczającego je żywiołu, że wpływ jego rodzi różnicę w ustroju licznych tworów planetarnych; ale obok tego w kombinacjach pierwiastków znajdujemy wszędzie prawa niezmiennie, i nie zdaje się nam, aby z praw tych miały się wyłamywać inne światy, jedynie skutkiem wszechmocności natury, i psuć harmonią powszechną. Zarzuty te nikną wszakże w obec zręcznej syntezy, jaką Flammarion rozwija na poparcie idei wielości światów, udowadniając w końcu, że *ziemia nie ma żadnej wydatnej wyższości i pierwszeństwa w szeregu innych planet, że inne planety mogą być równie zamieszkałe jak ona*. Na oba wnioski zgodzi się niewątpliwie nie tylko każdy myśliciel, ale każdy czytelnik, który zechce wziąć do ręki ciekawe dzieło Flammariona.

W ustępie kręślącym niewyczerpaną płodność natury, autor jest nieporównany. Daje nam obraz wspaniały życia bez granic, rozwija bogactwo myśli niewyczerpane, olśniewa wreszcie formą, stylem, błyszczącym jak gwiazdy o których rozprawia, płynącym do duszy, jak harmonijny ton muzyczny, wczém niemała część zasługi spada i na tłumacza.

„Leuwenhoeck, powiada, pokazał, że tysiąc milionów wymoczków, odkrytych w zwyczajnej wodzie dostrzeganiem mikroskopowem, nie tworzy jeszcze masy takiej objętości, aby wyrównywała ziarnkowi piasku. Ehrenberg wykrył, że życie z taką rozrzutnością rozlane jest w przyrodzie, iż na wymoczkach wspomnianych żyją jako pasożyty wymoczki drobniejsze, i że te ostatnie, aczkolwiek subtelne, służą za mieszkankę jeszcze mniejszym żyjątkom. Sir John Herschel, umieszczając małą kroplę wody na skośnym kawałku kryształu, osadzonym w ognisku mikroskopu słonecznego, który owęj kropelce nadał średnicę pozorną dwunastu stóp, mógł dostrzegać ogromny rój żyjątek wszelkiej wielkości, rój niekiedy tak skupiony, że w całej tęp dwunasto-stopowej rozciągłości, niepodobna było znaleźć wolnego miejsca, na wsadzenie końca najdelikatniejszej igły. Te istotki znikome rodzą się, aby żyły kilka tylko minut. Nasze godziny byłyby dla nich wiekami; nieskończona drobność ich objętości ma swoje elementa spółwzględne w nieskończonej drobności ich funkcji żywotnych i różnych fenomenów ich istnienia. W tym nowym świecie jest nieskończoność, a przynajmniej coś nieoznaczonego, nieokreślonego, czego nasz rozum najbardziej natężony pojąć i dociec nie może; a jednak jest to tylko przedsiónek świata mikroskopowego. Zapuszczając się dalej, dostrzeżemy w jednym calu sześciennym ziemi trypolitańskiej, *czterdzieści tysięcy milionów galionelli kopalnej*; dalej jeszcze znajdziemy w tákieżże objętości substancji podobnej, aż do 1,800,000 milionów skorupki kopalnych rdzawych!“

Gdzież więc ostateczny kres państwa życia, pytamy, w obec tęp niewyczerpanej płodności? I natura nam odpowiada, że kresu tego nie szukać w nieskończoności, że wszechświat cały ożywiony jest stworzeniem.

Autor opierając się na rozbiórach aerolitów dokonanych przez Reichenbacha, powołuje się na obecność węgla w tych ułamkach planetarnych, jako na świadectwo rozwoju na nich życia organicznego. W każdym razie z meteorytów tych czerpać możemy pe-

wność, iż po za naszą kulą ziemską istnieją pierwiastki chemiczne państwa roślinnego, podobnego naszemu.

Pochyłość ekliptyki ziemskiej niebardzo wygodnym czyni pobyt istot zamieszkujących naszą planetę. Pod względem urządzenia astronomicznego, najlepiej upożązonym jest Jowisz olbrzymi. Do niego to należałoby zastosować, mówi Flammarion, te słowa Brewstera: „Czy na planecie wspanialszej jak nasza, nie mogą istnieć inteligencje, z których najslabsza, przewyższałaby inteligencją Newtona?”

Flammarion nie wdaje się jednak bynajmniej w opisy ludzi planetarnych; hipotezy podobne wymagałyby bowiem wielu danych, na jakich dziś nauce zbywa i zawsze podobno zbywać będzie. Wyobrażenia sama łatwo doprowadza do dziwołagów, do mrzonek, będących skarykatowaniem lub spaceniem prawdy. W miejsce tego znajdujemy w autorze poglądy zgodne ze stanowiskiem nauki, a bynajmniej nie uwłaczające wierze, z którą Flammarion usiłuje pogodzić swą doktrynę, mniej lub więcej szczęśliwie.

Istnienie życia w przestworze, oto idea której broni, przeprowadzając ją szeregiem nieodpartych rozumowań. Spodziewamy się, powiada, że dziś przyjęto za pewnik, iż wielość światów nie może nie istnieć, a jeśli niepodobna być pewnym, że *ten lub ów* świat szczegółowy ma być koniecznie *dzisiaj* zamieszkałym, to przynajmniej trzeba przyjąć za uznaną tezę, że zamieszkalność światów jest ich *stanem normalnym*.

W księdze zatytułowanej: *Niebiosa*, autor daje nam, jeżeli możemy tak się wyrazić, pojęcie nieskończoności, rozległości dróg niebieskich, posługując się ciekawymi cytatami. Pragnęlibyśmy przytoczyć niektóre ustępy; rozmiary jednak i tak już szerokiego przeglądu na to nie pozwalają.

W zakończeniu działu stanowiącego rdzeń najżywniejszy kwestyi, autor przychodzi do trzech wniosków, a mianowicie: 1) że siły rozmaite, czynne od początku rzeczy, wytworzyły na światach wielką różnorodność istot, tak organicznych jak i nieorganicznych; 2) że istoty żyjące były utworzone od początku, według form i organizmów odpowiednich stanowi fizyologicznemu każdej sfery zamieszkałej; 3) że ludzie innych światów różnią się od nas tak w swęj organizacji wewnętrznej, jak w swoim typie fizycznym.

Nie poprzestając na tém studium właściwem naturalistom, Flammarion przechodzi na pole filozofii. Zapatrując się na kwestyę wielości światów z punktu ontologii, stara się udowodnić, że w hierarchii ludności zbiorowej światów, odpowiednio do fizycznego ustroju organizmów, postępuje i udoskonalenie duchowe, na zasadach bezwzględnej prawdy, dobra i piękna oparte; że jedność moralna, z tychże bezwzględnych zasad moralności i estetyki płynąca, łączy wszystkie inteligencje ludzkości zbiorowej, z inteligencją najwyższą.

Trudne te kwestye Flammarion roztrząsa z niepospolitą zręcznością, słabnącą jednak widocznie, w miarę jak autor zapuszcza się w głębsze badania filozoficzne, tracąc podstawy pozytywne. Znać nie raz, że autor żałuje gruntu porzuconego dla świata duchowego, który zgłębić i rozjaśnić usiłuje. Ale do tego nie przyznaje się otwarcie i kroczy dalej. Gorący stronnik planu, porządku i jedności w stworzeniu, na tych podstawach opiera swe rozumowania i wnioski metafizyczne. Niektóre myśli jego uderzają oryginalnością, granicząc z utopią, a raczej są one utopią rzeczywiście, tém szczególniejszą, że wychodzą z ust astronoma, miłośnika przyrody, obecnego z jej prawami. Autor założył sobie udowodnić, jak powiedzieliśmy wyżej, że doskonałość fizyczna organizmów planetarnych, postępuje w mierze z doskonałością duchową; więc szukając typu organicznego dla najwyższych rozwojów inteligencji, zapytuje: czy byłoby to zjawiskiem tak nadzwyczajnym, gdyby niektóre twory w taki sposób były zbudowane, aby ich organizacja wewnętrzna miała sama w sobie warunki długiego istnienia? czy byłoby nieprawdopodobnym przypuszczeniem, że są atmosfery żywiące (?) złożone z pierwiastków pożywnych, coby się mogły asymilować ziałami uorganizowanemi, odpowiednio do stanu tychże atmosfer? Przynajmniej w prostocie ducha, że nie znamy takich organizmów

i uchylamy się od komentowania takich cudowności.

Niekiedy duch autora daje się unosić w krainy nieskończoności, szukając na gwiazdach życia nieśmiertelnego. „Plejady odległe! woła. Dzisiaj, gdy w rozpromienieniu waszém tak spokojnym, mniemam widzieć braci nieznanych, może ukochane istoty, co mi były tak miłe za życia, a które śmierć nieubłagana uniosła daleko odemnie, tę nadewszystko, co uleciała z uśmiechem na ustach, abym się nie domyślał jej cierpień, a która teraz jest tam, zadumana może w jakim przyćmionym punkcie nieznannej ziemi (?), przypominająca sobie (?) z niewysłowionym smutkiem (!) naszą miłość starganą i wlepiającą (sic) jak ja błędny wzrok w niebiosa. Och! teraz kocham was promieniejące plejady“ it. d. Owóż co to jest błądzić między Scyllą a Charybdą bez steru, bez wędzidła na wyobraźnię. Ustęp ten, odjąwszy mu sentymentalizm, przypomina Kremera, gdy pisze w swych *Listach z Krakowa*: „A kiedy noc rozpocznie panowanie swoje, już wtedy zima w całej swęj poezyi. Płatają się różnorodne chmury bałamutnej mgły, wszystko śpi i drzémie; niebo samo tém baczniej czuwa i tak pilnie, tak jasno gwiazdami swemi na nas patrzy, iżbyś rzekł że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na ziemię poglądają i onęj strzegą.“ Poezya taka w ustach Kremera szczytna, u Flammariona razi.

Nie śledzimy dalej poglądów filozoficznych autora, poprzestając na określeniu drogi jaką wybrał, jaką mu może wybrać wypadało, w obec napaści pewnego stronnictwa, przeciwnego jego doktrynie. Pomijając inne usterki tej natury, nie mogące psuć zresztą całości dzieła, w każdym razie znakomitego, oddajemy sprawiedliwość pod wszelakimi innymi względami pracy astronoma francuzkiego. Bogactwo myśli, urozmaiconych wielu ciekawymi szczegółami, język wszędzie jasny, pociągający obrazowością, idee podniosłe, pogląd trzeźwy a szeroki, znaczenie wreszcie doktryny, podzielanej dziś przez najznakomitszych astronomów i naturalistów, talent pisarski, widniejący na każdej karcie tej ślicznej, nauczającej publikacji, są zaiste niepospolitemi zaletami dzieła, które może być cenną perełką każdego księgozbioru. Chrześcianin znajdzie w niem uwidomioną wielkość bóstwa, poparcie swych przekonań religijnych; filozof szerokie pole do studyów; naturalista żywioł mu właściwy, zawsze ponętny; czytelnik - encyklopedysta fakta ciekawe, przedmiot absorbujący myśl, rozszerzający jej granice. Autor rozbił tu zagadnienie w tysiąc cząstek, by je potem skupić umiejętnie i z faktów naukowych wysnuć prawdy wspierające jego teorye. Powtarzamy, że publikacja Flammariona nie grzeszy ani przeciw dogmatowi chrześcijańskiemu, ani przeciw nauce; a jeśli niekiedy, wychodząc po za zakres przystępny naturalistom, potyka się i chroma, to na takich wyżynach, gdzieby i największy talent z pewnością musiał się zbłąkać. Ubogie w dzieła naukowe piśmiennictwo nasze w każdym razie cieszyć się powinno ważnym tym nabytkiem; a zawdzięcza go uczonemu naszemu profesorowi, który tak wyborem, jak i pięknnością przekładu, oddał rzeczywistą przysługę naszej literaturze.

W. N.

Rozmaitości.

Anglomania u nas w zeszłym wieku.

Już dawni moralisci nasi zarzucali, iż Polacy w szeregu rozmaitych przemian byli naśladowcami wszystkich żyjących i zmarłych narodów Europy. Nie było niestalszych w modzie jak nasi przodkowie. Górnicki żalił się w XVI wieku, że mowa, obyczaje i stroje czeskie, zawracały wszystkim głowy. Byliśmy już Włochami, Hiszpanami, Niemcami, Francuzami, a Bóg wie jakie mody panowały w kraju. Otóż w drugiej połowie zeszłego wieku zjawiła się u nas piérwszy raz angielszczyzna, której hołdował cały świat modny męzki i cała prawie żeńska połowa naszego towarzystwa.

W roku 1770 Warszawa rzuciła się do mody angielskiej, a złota młodzież ówczesna, jak zawsze pod

względem mody, rej prowadziła. Przesadę posuwano wtedy do śmieszności. Młody dandys, aby odznaczyć się w towarzystwie, od stóp do głowy przebiegał się po angielsku, a już wówczas John Bull słynął z dziwactwa posuniętego nieraz do ostatnich granic. Mówić po angielsku na spacerach i w salonach, było natenczas szczytem dobrego wychowania i szczęściem modnisiów. Mody angielskie królowały we wszystkim; kupowano tylko towary angielskie, chwalono i ubiegano się o wszystko co pochodziło z Anglii. Wielkie składy towarów angielskich założono w Warszawie, a piérwszeństwo trzymał niejaki Jaziewicz, mający swój ogromny magazyn przy ulicy Miodowej. Później, po roku 1776, wziął nad nim górę Obermann, którego skład pod gołdem pelikana na Krakowskim przedmieściu zaopatrywał w nowości angielskie całą Warszawę. Z mody téj nic nie pozostało, jak tylko szuwaks angielski do butów, przez Obermanna po raz piérwszy wprowadzony.

Gust angielski przeniknął nawskróś, jak pisze Magier w swoich pamiętnikach, i okazywał się wszędzie, w sprzętach nawet pokojowych. Usunięto meble francuzkie, zawsze esowate, o wygiętych nóżkach, z wysadzonemi kwiatami, bukietami i t. p.; a natomiast nastąpiła gładka stolarszczyzna, prosta i skromna, najwięcej z drzewa mahoniowego, które było najmodniejsze. Jednostajność i prostota angielska najlepiej popłacały. Angielskim krojem zrobiony frak, buty ze sztylpami i niskimi obcasami, cechowały modnego młodzieńca, który przejmował nawet sztywność Anglików w nogach i karku i niegrzeczność im właściwą.

Angielszczyzna nie przestała na ubiorach; wtargnęła ona do wszystkich szczegółów życia modnisiów. Namietność Anglików do koni owdągnęła ich także przeważnie. Prawda iż nie wyrobiła się u nas zaraz sportsmanerya, ale konie angielskie zaczęto przekładać nad swojskie arabskiej rasy. Na gwałt rzucono się wszędzie do anglizowania koni wierzchowych i pojazdowych i dużo ich z Anglii sprowadzono. Berejtery, konowały byli sami Anglicy, i ci największej używali wziętości. W Warszawie niejaki John Bell, konował z Anglii, ogłaszał po gazetach, że zastać go można przy ulicy Długiej pod koniem angielskim, gdzie operacyą anglizowania skutecznia. Czynność tę okrywał jeszcze wtedy sekret. Zmieniono także powozy dawniejsze na angielskie. Jednoosobowe powozy zwano soliterkami. Steinbacht w Starém mieście na wielką skalę za drogą piędzdzę sprowadzał angielskie karęty. Wnet téż i w kraju zaczęto podobne wyrabiać powozy. Piérwszą tego rodzaju fabrykę założył u nas Dangel, który wyuczywszy się w Londynie siodlarstwa, za powrotem do Warszawy wsławił się najprzód z roboty angielskich siodeł. Mieszkał zrazu w małym dworku przy ulicy Rymarskiej; za opieką zaś królewską i możnych panów, wznosił ogromny dom przy ulicy Elektoralnej (gdzie dziś szpital Śgo Duchy) i w nim założył na wielki rozmiar fabrykę pojazdów, długi czas słynnych nietylko w kraju, ale i zagranicą. Dangel dorobił się wielkiego majątku i umarł, zostawszy znacznym właścicielem ziemskim i baronem.

Mody angielskie przeszły także i do naszej kuchni; nie zapomniano o żołądku, a przedewszystkiem o gardle. Sprowadzano jabłecznik angielski, którego butelkę po zł. 1 gr. 6 sprzedawano. Anglikom téż winniśmy poznanie ponczu i porteru. Ten ostatni napój piérwszy raz w r. 1771 zaczął być znany w kraju naszym, ale jako rzadkość, którą częstowano tylko w możnych domach. W Warszawie wziętość swoją zawdzięcza doktorowi Wilson Anglikowi, który dowodził, że porter na wiele chorób wewnętrznych jest lekarstwem i dawał go swoim pacjentom, co tak upowszechniło sławę tego napoju, że odtąd stał się ulubionym. Panowie dawali śniadania zastawiane rostbifem, bistykiem, plumpudyniem, zakrapianemi grokiem, piwem angielskim i porterm; słowem anglomania, we wszystkich swych objawach, ówczesne wyższe towarzystwo przeniknęła.

UROCZA,

POWIEŚĆ

przez T. T. Jeża.

I.

Wilk Horacyuszem.

Nie wiem po raz który w życiu odczytywałem Byronowego „Don Juana”. Wziąwszy książkę do ręki, zamyśliłem się nad najpięrszemi czterema wyrazami, które poeta wypowiedział krzyk duszy, goniącej za marą.... bohatera powieści. Ludziom nie piszącym wydaje się, iż piszącym gładko idzie z bohaterami. Ale—ba!... Nie tak to łatwo. Byron szukał i ledwie że znalazł, a był to... Byron. Jakiżże to pracy dopiero oddawać się musi człowiek, co Byronowi rzemyka u trzewików wiązać nie wart! Takim człowiekiem jest autor niniejszej powieści, znany trochę czytającej publiczności ze strony powieściowej, lecz nieznanym ze strony pracowitości, z tej właśnie, która jest w człowieku najciekawszą, a którą tak trudno samemu opowiedzieć.

Od kilku tygodni poszukuję bohatera. Wyobrażnię moję puściłem, jak dojeżdżacz puszcza psy gończe ze sfory. Długo po kniejach i wertetach życia błądziła napróżno; długo daremnie nawoływałem na nią:

— Dalej—że, dalej!... hop-hop!...

Zmęczona, zziębła, posłuszna rozkazowi, latając z nosem na wiatr, dostała się wreszcie na wyraźny trop.

Biegnę za nią i zabiegam ję na przełaj—patrzę: gdzie się ona zabrała?

Wybrnęła z gór, piasków, puszczy, bagien i wybiegła w step.

I goni wielkim głosem. Kogo?—Zapewne bohatera nie ladajakiego kalibru.

Naturalnie pośpieszałem za nią z całych sił, oglądając się dokoła.

Dokoła był step.

Stepy znanymi są czytelnikom, jednym osobicie, drugim ze słyszenia. Dużo w nich jest poezji, tyle co w górach, których są przeciwieństwem. Duch gór i duch stepów są sobie braćmi rodzonymi we względzie reputacji poetycznej, która jest ustaloną, rozgłoszoną, rozśpiewaną na wszystkie świata strony. U nas zwłaszcza dużo pieśniarzy na stepową nutę liry stroiło. I grali bardzo pięknie, a jeden z nich zaręcza, że pod zarostą chwastami mogiła spoczywa w wielkiej trumnie złotostrunna lira, co niegdyś grywała sama. I pozostawał po niej podzwiek w powietrzu, i w ten podzwiek trafiają niektórzy, zbierając go z kwiatów, jak pszczoła miód i rozkładając na głosy, jak kapelmistrze utwory muzyczne.

W taki to step zapędziła się moja wyobraźnia i mnie za sobą zawlokła. Zdała coś siniało—niby lasy; zdała coś szarzało—niby góry. Na horyzoncie majaczyły jakieś kształty, niepodobne do okręślenia, bo można je było z równym prawem nazwać lasami i górami, jak obłokami stanowiącemi ramy obrazu, który w opisie nie wydałby się wcale osobliwym. Chcąc go bowiem opisać, należałoby mówić o nim jak o morzu: ukazać na niebo rozpinające się błękitnym namiotem, i na granice uciekające z przed oka, i na fale....

Tylko że w chwili w której ja z moją wyobraźnią znaleźliśmy się na tym stepie, mowy

być nie mogło o wszelkiego rodzaju falach; była to bowiem jesień. Nocne przymrozki porwały trawy i zioła, którym słońce przypiekać poczynające około jedenastej przed południem, a ustępujące miejsca chładowi około trzeciej po południu, pomagało tyle, co umarłemu kadzidło. Ziemia przedstawiała powierzchnię w jednych miejscach nagą, czarną, w drugich pokrytą rzadkim porostem suchych badyłów ciemno-słomianego koloru, w innych odzianą płachtami bodiaków o brunatnych zwojach, a w innych zieleniejącą kobiercem posiewów, które jak szczeć powschodziły. Gdzieś tam, niby kępa na trzęsawiskach, spotykać się dawał szmat tarników. Gdzieś tam wyskakiwała mogiła, ukrywająca w łonie swoim tajemnicę jakiegoś zdarzenia z odległej przeszłości, świadcząca że te stepy ciche dziś i nie-me, nie były zawsze tak cichymi i niemymi.

Jakoż i w chwili wynurzenia się naszego na ten bezgraniczny obszar nie było na nim tak cicho i głucho, jak się na pierwszy rzut oka wydało. Środkiem posuwał się szereg jeźdźców, wyglądających na manewrujących przed pułkiem flankierów. Koń od konia trzymał się w odległości przynajmniej stu kroków, ale na jednej linii. Każdy z osobna jeździec zwolna kroczył naprzód w zygzaki, pilnie badając przestrzeń, którą promieniem oka mógł zachwycić. Doprawdy, można ich było wziąć za flankierów, poruszających się ku nieprzyjacielowi i zasłaniających postępujący za nimi pułk... Lecz za nimi i przed nimi rozciągał się nagi step. Nie było pułku z tyłu, ani nieprzyjaciela z przodu. Flankierowanie nie miało wojny na celu, pomimo wojennego porządku w jakim się odbywało. Najlepszym na to dowodem były: bezbronność i nieuniformowość jeźdźców. Bo jużci harapów, nahajek i szpicrutów nie można uważać jako militarne narzędzia, ani kubraków, kurtek, węgierek, burek, lisami, barankami i psami wykładanych i podbijanych, lub wiatrem podszytych, a rozmaitych krojem i kolorem—do jednej z mundurami kategorii zaliczyć. Tylko miny jeźdźców miały w sobie dużo marsowatości, a raczej zamaszystości. Same zuchy, jakby umyślnie dobrane, ale nie we względzie wieku, ani też we względzie towarzyskiej pozycji.

Byli pomiędzy nimi starce i młodziki; byli szlachcice i chłopci. Na ciemno-szpakowatym koniu jechał jasno-szpakowaty jegomość, w sutęj, z wielkimi guzami lisiurze, w baranięj, ku lewemu uchu lekko przechylonej czapce; nos miał orli, wąsy i twarz dużą i tuszę odpowiednią. Koń, pomimo że rosły i silny, postękiwał pod nim.

Trzymał on środek linii, i dlatego też go pierwszego wymieniam. Do niego stosowali się inni, a najprzód dwaj dworsecy Kozacy, jeden na karym, drugi na gniadym koniu, jadący jeden z jednej, drugi z drugiej strony i prowadzący każdy po trzy charty na smyczce. Byli oni pod bezpośredniemi jasno-siwego jegomości rozkazami, stosowali się do jego ruchów jak dwa cienie i nastawiali pilnie uszów, kiedy on co mówił, notując sobie w pamięci powtarzane od czasu do czasu wyrazy:

— Wybałuszaj ślępie przed siebie!... Patrz pod bruzdy!... A jak ruszy.... haj!... ale tylko ten, z przed kogo ruszy.... A nie szcuć mi nic innego, tylko zajęcia....

Nastawiali uszy, a słuchali; wytrzeszczali oczy, a patrzyli.

Dalej w szeregu na prawo jechał szlachcic ni młody ni stary, z przypłaszczonym nieco nosem i rudemi wąsami, które mu niby wiech-

cie sterczały. Na lewo jechał także szlachcic, a było młodzik lat dwudziestu, może dwudziestu paru, smykowaty, szykowny, paniczkowaty. Za nimi jechali Kozacy, a dalej znów szlachcice. Z Kozaków każdy miał charty na smyczy i każdy zostawał pod rozkazami obok jadącego szlachcica. Wszyscy oni powtarzali to, co środkowy jegomość: nie szcuć tylko zajęcia i nie puszczać chartów ze smyczy tylko te, z przed których zajęc pomknie.

Rozkaz ten był widać umówionym. Było to snadź myśliwskie hasło, dane przez starszego w celu utrzymania porządku, który był potrzebnym w myśliwskiej wyprawie, liczącej około pięćdziesięciu koni i tyleż chartów.

Porządek tedy był wzorowy. Koń przy koniu szedł w odległości, (jak wyżej powiedziałem) stu kroków, charty szły na smyczach, a jeźdźce trzymali się linii, zwracając śledcze wzroki pod każdą grude, pod każdy badył.

Dwóch tylko jeźdźców, w skrajnym lewym skrzydle, jechało razem, jeden obok drugiego. Pierwszy mógł liczyć lat z górą czterdzieści, drugi niespełna dwadzieścia pięć. Jechali stępa. Polowanie, zdaje się, nie obchodziło ich wcale, bo prowadzili ze sobą rozmowę, która z łowiectwem najmniejszego nie miała związku. Mówili o geniuszach w dziedzinie nauk, poezji i artyzmu, o tém co one wyrażają i co znaczą. Zdania ich się zgadzały. Jeden podpowiadał drugiemu, jeden dopowiadał to, czego drugi nie wypowiedział.

Dziwnie brzmiała ta rozmowa na stepie półdzikim, na polowaniu, mającym na celu zajęcia. Dziwnie brzmiały wyrazy rozumne, wymawiane przez ludzi w stroju przyprowadzającym na myśl Połowców, którzy niegdyś na tych samych stepach koczowali.

Jechali i rozmawiali. Młodszy wymówił nazwisko:

— Dante....

Starszy podchwycił:

— Otóż widzisz.... Nie wziął się on niewiedzieć zkąd, ani niewiedzieć jak.... Wydał go naród, a każdy naród do geniuszów których wydaje, zostaje w stosunku prostym....

— Haj!... krzyknął młodszy.

— Haj!... powtórzył starszy.

Z pod kopyt ich koni pomknął zajęc.

— Haj!... odezwał się okrzyk z boku o sto kroków.

Dwa charty wysunęły się ze smyczy i poszły stepem. Za nimi posunęło się czterech jeźdźców: dwaj ci co rozprawiali o Dancie, jeden Kozak dworski i jeden jakiś szlachcic. Parli co koń tchu ma w piersiach, a cała linia zatrzymała się w miejscu i przypatrywała się z daleka widowisku pogoni. Paniczkowaty młodzieniec podjechał do środkowego jegomości.

— Poszczuli.... rzekł ten ostatni od niechcienia.

— Zajęc pomknął z przed tego uczonego, którego polowanie tyle obchodzi, co mnie przeszłoroczny śnieg. Zapewne ucieknie, bo nie był zhecowany.

— Czyje poszły charty?

— Stanisława.

Jegomość pogardliwie wargą ruszył i ręką machnął.

— Daremnie tylko konie spędzą... A niech się tam akademik przetrzęsie; to mu się na zdrowie obróci.

— I wytrzęsie z siebie trochę filozofii... dorzucił młodzieniec.

Stary jegomość rosem skrzywił i czapkę na głowie poprawił, a przykładając dłoń do czoła,

puścił wzrok po stepie, w kierunku w którym odbywała się gonitwa, i rzekł:

— Dały obrót... hm... nie spodziewałem się tego po chartach Stanisława...

Zając, który w pierwszej chwili uciekał prostopadle do linii jeźdźców, odsadziwszy się na kilka staj, zmienił kierunek pod kątem prostym i poszedł równoległe do tej linii, jakby dla popisu. Za nim w niewielkiej odległości wyciągały się dwa psy. Za psami, jeden za drugim, sadziło czterech jeźdźców; ten co go przezywali akademikiem na czele, za akademikiem ten co z nim o geniuszach rozprawiał, za tym ostatnim Kozak, a za Kozakiem szlachcic.

— Patrzenie-no-go!...—zawołał młodzieniec. Książka wcale nieźle trzyma się na koniu... Ot, filozofia jeszcze uszczuje zająca... Ktoby się tego spodziewał?

— Szkoda żeś się i ty filozofii nie uczył... rzekł stary jegomość pół żartem.

— A na diabła mi ona!... odparł młodzieniec.

— Ułatwiłbyś sobie dokładne zbadanie tajemnic preferansa.

— Sprawilibym sobie dystrakcją, któraby preferansowi szkodziła.

— Pozyskałbyś przyjaźń Stanisława.

— Gdyby mi o nią tak nadzwyczajnie chodziło...

— Ale... przecie... Stanisław jest *ecce homo*.

— Rozumniejszy od ciebie, odemnie i od wszystkich ilu nas tu jest, ale zato czasami nudny, ech!.. nudny...

— Dla ciebie, boś głupi, drogi Fasiu.. rzekł poważny jegomość z przyciskiem, w którym brzmiał akcent familiarności.

Młody człowiek uśmiechnął się, pokiwał głową i patrząc w oczy poważnemu jegomości, następujące mu zadał pytanie:

— Ciekawym kto głupszy, czy ja umiemycy tyle co ty, pomimo że mam lat dwadzieścia? czy ty, nie umiemycy więcej jak ja, pomimo że masz lat pięćdziesiąt kilka?

— No, no... wzięłaś rzecz de grubis, kiedy ja żartowałem...

— A toż i ja żartuję.

Poufałość ta pomiędzy młodzikiem a człowiekiem w wieku i poważnie wyglądającym, miała w sobie coś, co budziło wstępną. Patrzącemu na nich zdawało się, że jeden jest ojcem, drugi synem, słuchającemu, że to rówieśnicy.

— Ale nie żartuje zając... podchwycił stary jegomość—zażartował jegomość z uczonych filozofów i z chartów Stanisława... Pobłogosławił ich skokami i teraz sobie kpi z nich pod jakąś miedzą.

Na te słowa młodzik zawrócił konia i odjechał na swoje stanowisko. Myśliwi co przed chwilą poszczuli, powracali z niczym. Zając uciekł. Szereg więc ruszył naprzód i lewo-skrzydłowi jeźdźcy znaleźli się znów jeden obok drugiego.

Konie ich były zmęczone; oni sami oddychali ciężko.

— Przebiegaliśmy się... rzekł po chwili młodszy.

Starszy nic nie odpowiedział.

— Ale pytam się sam siebie, co za siła pchnęła nas w pogoń za tym biédnym stworzeniem, które żadnej nikomu przykrości nie czyni?..

Starszy się zaśmiał głośno.

— Z czego się śmiejesz?..

— Z naiwności twego zapytania... Czyż bowiem gonimy to tylko, co nam przykrość sprawia?.. Szpikowany słoninką i upieczony na różnie cząber zajęczy, podany na stół z buraczkami, nie jest żadną przykrością... Lecz pomijam to... Ścigaliśmy nie piecyste, nie zająca, lecz prosto rzecz która przed nami uciekała... Ten zajęczek, za którym ja stary i ty młody o mało karków nie pokręciliśmy, jest obrazem wszystkich w ogólności rzeczy uciekających, tych wszystkich mar jakie ścigamy...

Westchnął.

— A każdy z nas śmiertelników ma jakąś marę... każdy...

Spuścił głowę, zamyślił się i nagle się zaśmiał.

Pod młodym człowiekiem koń utknął.

— Podtrzymuj szkapę cugłami—zauważył starszy—bo się z tobą wywróci, jeżeli zostawisz ją samą sobie... To samo dzieje się z namiętnościami ludzkimi... Człowiek jedzie na nich wierzchem, jak na szkapie, i póty jedzie, póki je krótko w cugłach trzyma; a gdy im popuści wodze, wówczas one wsiadają na niego jak na konia i popędzają, póki nie zajeżdżą... A jakie mnóstwo pomiędzy bliźnimi naszymi jest takich, co się na konie wy kierowują!... Ha... ha...

I głową kiwał.

— Goni marę jak zająca i zarazem wiezie na grzbiecie namiętności. Z tego się wyradza komplikacja, która niweczy w człowieku pierwiastek boskości. Czyś rozmyślał kiedy nad tym?..

Młody człowiek uśmiechnął się.

— Ha, młody jesteś, nie miałeś jeszcze ani czasu, ani sposobności przypatrzeć się bliżej światu. Pożyjesz, to się rozpatrzysz. Jeszcze ustami nie dotknął kiélicha goryczy. Napijesz się z niego, kochanie.

Te słowa wtrąciły młodego człowieka w zadumę. W milczeniu jechał obok towarzysza, który go po chwili zapytał:

— Cóż, jakże ci się polowanie podobało?..

— Bardzo...

— Szlachetna rozrywka... nieprawdaż?

Młody człowiek głową skinął.

— Ale jako rozrywka, jako pewien rodzaj gimnastyki, hartującej ciało na to, aby w zdrowym ciele mieszkała zdrowa dusza, nie zaś jako zabicie czasu, jako jedno z głównych zadań życia, jako jeden ze sposobów używania...

— Przecież rozrywkowy cel w oczy bije... podchwycił młodzieniec.

— Ciebie, ale nie mnie... Zobaczysz... zobaczysz... Te stopy są dla ciebie progim, przez który przestąpiłeś, wchodząc w świat... W uniwersytecie świat był inny, tu inny. Tam jak gąbka nasiąkłeś iluzjami; tu je stracisz jedną po drugiej... o...! stracisz... zobaczysz.. Z tego bukietu, w postaci którego wyobrażałeś sobie rzeczy ludzkie, będą powoli opadały listek po listku, kwiatek po kwiatku, i pozostanie monstualny szkielet...

— Och!.. przesadzasz... odparł młodzieniec. Nie myślę się chwalić znajomością świata i ludzi, ale przecie pomimo że byłem w szkołach i przeszedłem od początku do końca, nie byłem zamurowany przez ćwierć wieku.

— Aleś przez przeciąg tej ćwierci wieku był najprzód dzieckiem, a potem młodzieńcem,

a więc patrzyłeś na świat różowo... Czyś miał kiedy co z ludźmi do czynienia?...

— Czyż nie?... a koledzy?...

— Koledzy! zawołał czterdziesto-pięćletni szlachcic. Oho!.. koledzy, to mi są ludzie!...

Młody człowiek lekko się zarumienił.

— Pomiedzy nimi zdarzali się rozmaici: dobrzy i źli... Różne objawiały się charaktery...

— W pieluchach... Miałeś przyjaciół?..

— Miałem i nieprzyjaciół...

— Przyptuszczam... Odbyłeś nawet kilka pojedynków... Miałeś kilka procesów... Poznałeś kilka pięknych a kilka czarnych, jak najczarniejsza noc, charakterów... To wszystko nic... Były to tylko zadatki na kontrakt, który ma być później, kiedyś dotrzymany... A ty może nie wiesz o tym, że zadatek niekoniecznie pociąga za sobą dotrzymanie kontraktu... O! ileż to zadatków przepada!

— Zapewne, odrzekł młodzieniec.

I coś jeszcze chciał dodać, gdy wtém na całej linii rozległ się okrzyk:

— Wilk!...

Okrzyk ten podchwycony i powtórzony został przez wszystkich. Naraz cały szereg jeźdźców podał się naprzód. Wszystkie charty—a było ich, jak wiemy, pięćdziesiąt—zleciały ze smyczy; wszystkie konie kopnęły się w cwał; wszyscy myśliwi zakrzyknęli:

— Hajź!.. Hajź!.. Hajź-ha!..

Co się zrobiło, tego opisać nie sposób. Wzorowy porządek zmienił się w oka mgnienia w najwyższy nieład. Kupą pędziły psy, kupą pędzili ludzie na koniach; ziemia gdzieś głęboko we wnętrzosciach swoich stękała pod kopytami. Niby dwie chmury, jedna za drugą wiatrem pędzone, sunęły po stepie, a przed niemi pomykał wilk.

No! wrogowi memu nie życzylibym być w skórze tego wilka, pędzonego przez strach. To też ani oglądał się po za siebie. Pysk wyciągnął jak dziób ptasi, ogon puścił jak rudel, uszy po sobie położył i darł. Strach mu lotności dodawał. Iustynktownie w nogach czuł całe zbawienie i nie żałował ich.

Powtarzam: wrogowi nie życzylibym być w skórze tego wilka. Leżał sobie w bodiakach najspokojniej, kiedy na niego najechała linia myśliwców. Usłyszawszy pryhanie koni, podniósł się, obejrzał, a poznawszy iż na koniach byli ludzie, chciał się im z drogi ustąpić. Zoczył go jeden z Kozaków i krzyknął:

— Hutia!..

Zoczył go szlachcic i ogłosił jego obecność...

To stało się powodem całej awantury, w której najsmutniejszą dla wilka była ta okoliczność, iż nie wiedział co ze swoją osobistością zrobić. Niósł ją bez celu, uciekał, ale nie wiedział dokąd. Nigdzie w pobliżu ani lasu, ani trzęsawisk oczeretami i łoziną zarosłych nie było. Step i step jak morze—a na tym stepie on sam jeden, a za nim zgraja, niosąca mu śmierć, od której wykręcić się nie było sposobu. „Krutą, werty, treba umerty“... Jednakże ratował się.

(Dalszy ciąg nastąpi).